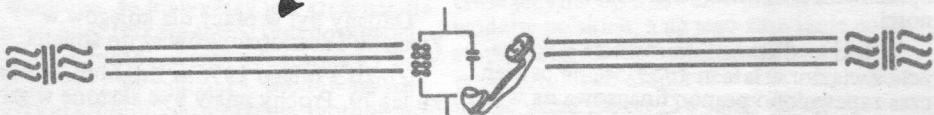


Organ Związku  
Łącznościowców



# PRZEGLĄD ŁĄCZNOŚCI



Nr Nr 1/19, 2/20, 3/21

LONDYN

JESIEŃ 1976 i WIOSNA 1977

Wydaje Związek Łącznościowców, Zarząd – 24 Ranelagh Rd, London W5 5RJ, England.

## ZESZYT JUBILEUSZOWY

### SPIS RZECZY

	Strona
<i>Me</i> <b>Ś.p. plk. dypl. Tadeusz Rola</b> , Przewodniczący Rady Związku Łącznościowców	2
• <b>Mieczysław Zaleski</b> – Cienie i blaski Wojsk Łączności w drugiej wojnie światowej	3
<b>Tadeusz Lisicki</b> – Skomputeryzowane dowodzenie. Komputer dowodzenia.	9
• <b>Franciszek Różycki</b> – Aleksander Graham Bell, wynalazca telefonu.	14
• <b>Alfred Pokultinis</b> – Wspomnienia z niedawnej przeszłości.	16
cz. I. Z sowieckich łągów do Polskiego Wojska w Rosji.	
cz. II. W Polskim Wojsku w Rosji i w Iraku. Zaciąg do „Cichociemnych”.	
• <b>Władysław Iżycki</b> – Na uzupełnienie . . .	26
• <b>Wacław Walknowski</b> – Epizod z wojny 1920 r.	32
• <b>Antoni Rogoziński</b> – Ostatnie dni przedwojenne w Zegrzu k/Warszawy	33
• <b>Stanisław Sławiński</b> – Konna łączność (Szwadron Łączności Podlaskiej Bryg. Kaw.)	35
• <b>L. Kmicic-Skrzyński</b> – Uwagi dodatkowe do organizacji Szw. Łącz. Białostockiej Br. Kawalerii, później Podlaskiej.	39
• <b>Jerzy Wiśniewski</b> – Relacje o Szw. Łączn. Podlaskiej i Krakowskiej Bryg. Kawalerii	40
• <b>Janusz Fronczek</b> – Filozofia telefonisty nad rzeką Sanio.	43
• <b>Jan Bieda</b> – Zemsta radiotelegrafisty.	45
— Radiotelegrafści IV Dyw. na Wschodzie (1918 r.)	49

Przewodniczącym Rady Związku Łącznościowców został wybrany w roku 1968 po gen. br. J. Lukomskim, który zrezygnował z tej funkcji na skutek złego stanu zdrowia i powrotu do kraju. Plk. dypl. Rola obowiązek ten pełnił przez osiem lat, aż do śmierci. Równocześnie pełnił funkcje Przewodniczącego Komitetu Historycznego Związku od roku 1956. W tym czasie Jego niestrudzonym wysiłkom zawdzięczać należy wydanie w Polskiej Fundacji Kulturalnej książki p.t. „Dziękuję Wam Rodacy” o dziejach łączności konspiracyjnej w Kraju i dla potrzeb Armii Krajowej na Zachodzie, z przedmową gen. S. Kopańskiego i w opracowaniu Komitetu Historycznego Łączności.

Dzięki jego staraniom również jako Prezesa Związku w latach 1953/56, na pewien czas zapewniono pomoc finansową na wydawanie organu Związku „Przegląd Łączności”

pod redakcją pplk. M. Zimmera. Drukowano w nim artykuły wiedzy łącznościowej, głównie z wykładów i odczytów, wygłaszanych w ramach ówczesnej działalności Zarządu w Londynie, z inicjatywy Prezesa. Plk. dypl. Rola brał udział w obchodach Święta Łączności i wraz z małżonką przyjeżdżał w zimie z Brighton na doroczny „Oplatek”. W okolicznościowych przemówieniach podkreślał konieczność zaszczepienia idei łączności naszym ewent. następcom – młodzieży, czego zmarły był gorącym orędownikiem. Czuwał nad zbieraniem pamiątek łącznościowych, oraz materiałów historycznych i myślał o ich zabezpieczeniu i publikowaniu

Oddany był w pracy dla kolegów w Związku Łącznościowców aż do śmierci

Zmarł 5 lutego 1976 w Brighton, w wieku lat 79. Prochy miały być złożone w grobie rodzinnym w Warszawie.



Święto Łączności, 30.6.1968 r.  
Gen. Wł. Anders, plk. dypl. T. Rola i pplk. dypl. inż. T. Lisicki

Mieczysław Zaleski

## CIENIE I BLASKI WOJSK ŁĄCZNOŚCI W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Niniejszymi wspomnieniami obejmuję tylko dwa okresy:

- prace Naczelnego Dowództwa Łączności (cienie)
- bitwa o Monte Cassino (blaski)

Wiadomo, że im wyższy jest szczebel, na którym popełnia się błąd, tym dotkliwiej i w formie spotęgowanej odczuwają go wszystkie podwładne oddziały. Błędów na najwyższym szczeblu dowodzenia łącznością było bez liku, a zaczęły się one na długo przed wojną. Dotyczyły one wyboru kolejnych Szefów Łączności (czy jak tam się oni wówczas nazywali). Marszałek był jednym z tych nielicznych, którzy w pełni oceniali znaczenie łączności i dawał temu przekonaniu niejednokrotnie silny i oficjalny wyraz. Wojska Łączności były bronią nową nie posiadającą autorytetu innych tradycyjnych broni, nie miały prawdziwych zasług w wojnie polsko-bolszewickiej, zostały więc łatwo zepchnięte do roli Kopciuszka. Tu trzeba było jednego z najwybitniejszych i najenergiczniejszych generałów, który by zdobywał konieczne kredyty, umiał dostosować organizację oddziałów łączności do nowych koncepcji wojny totalnej i umiał silnymi łokciami, a nie brydżami lub polowaniami zdobyć należyty łączności szacunek.

Po tym wstępie, przechodzę do okresu opracowywania planu łączności na kilka lat przed wybuchem wojny. Fragmentarycznie przygotowali go major dypl. T. Rola i major T. Hoffman, referenci Oddz. III Sztabu Głównego. Dopiero w roku 1936 wyznaczono plk. dypl. J. Łukomskiego na Szefa Łącz-

ności Sztabu Głównego i na jego barki spadł ciężar przygotowania planu łączności dla przyszłej wojny. Zrozumiałe jest, że plan łączności musi opierać się na planie operacyjnym. Czy plk. Łukomski go znał w tym stopniu jaki był konieczny? Wiem z ust plk. Łukomskiego, że nie! Podano mu właściwie jedynie ugrupowanie początkowe dowództw polskich, a na jego zapytanie co do stopnia zagrożenia linii komunikacyjnych przez lotnictwo niemieckie dano mu zapewnienie uspakajające. To samo nastąpiło na jego zapytanie co do przewidywanych kierunków opóźnienia i kierunków ofensywy lub kontrofensywy. Na te wszystkie informacje miał być czas bezpośrednio przed wojną lub nawet w toku wojny. O „blitzkriegu” zdaje się wówczas nawet nie pomyślano i wojna co do tempa miała być raczej podobna do pierwszej wojny światowej. W Sztabie Głównym musiały istnieć wiadomości tak niezbędne dla plk. Łukomskiego, ale były dla niego zamknięte na siedem pieczęci. Jako człowiek akcji musiał działać na ślepo, ale bardzo ostrożnie, bo w wypadku pomyłki, następstwa mogły być katastrofalne.

Pozналиśmy największy błąd Sztabu Głównego. Następnym był fakt, że przyszłemu Naczelnemu Dowódcy Łączności nie podlegały wszystkie środki łączności. Nie miał w swojej dyspozycji ani jednego gońca motorowego. Podlegali oni Komendantowi Kwatery Głównej. Łącznicy samolotowi podlegali Dowódcy Lotnictwa. Szczytem wszystkiego było, że oficerowie szyfrowi, posiadający szyfry, podlegali Szefowi Oddziału II. Nie mogę powstrzymać się tu od uwagi jak logicznie i jak celowo była zorganizowana



łączność w 2-gim Korpusie i to (o ironio!) na zasadach armii angielskiej, która żadnych tradycji wojennych nie miała. A może . . . właśnie dlatego!

I jeszcze jeden błąd Sztabu Głównego: Jeżeli logiczne jest, że dowódca przy pomocy sztabu przemyśla, organizuje i wprowadza w życie swoje plany, a więc jest niejako mózgiem oddziału, to należy ten mózg sformować dostatecznie wcześniej. Niestety w planach mobilizacyjnych Sztabu Głównego przeorganizowania trzyosobowego Szefostwa Łączności na wielki Sztab Naczelnego Dowódcy Łączności (plk. dypl. H. Cepy) miało mieć miejsce dopiero w pierwszym dniu mobilizacji, co jak wiadomo, zbiegało się z pierwszym dniem wojny.

Na wszystkie powyżej wyliczone błędy kardynalne Sztabu Głównego plk. Łukomski nie miał wpływu, opracował więc Plan Łączności zgodnie z posiadanymi informacjami i środkami. Do tej pory nie popełnił świadomie żadnego błędu.

#### Plan Łączności Naczelnego Dowództwa.

Zasadniczym środkiem łączności od wysokości dowództw wielkich jednostek aż po Naczelne Dowództwo miał być telegraf i telefon na liniach Ministerstwa Poczty i Telegrafów. Poszczególne centrale i trasy miały przejmować oddziały wojskowe stosownie do potrzeby. Do tego celu Naczelny Dowódca Łączności dysponował pewną ilością kompanii telegraficznych, które miały być stopniowo mobilizowane w dalszych tygodniach wojny. W tym samym położeniu znajdowali się Dowódcy Łączności Armii. Kompanie telegraficzne miały tabor o zaprzęgu konnym i wozy chłopskie z rekwizycji. Uwaga: Całość przypominała do złudzenia rok 1914!

Zastępczym środkiem łączności miało być radio, a więc samochodowe, ale mocno przestarzałe RKG/A<sup>1)</sup> przy Dowództwach Armii i Grup Operacyjnych, również przestarzała RKA<sup>2)</sup> o zaprzęgu konnym dla dowództw W.J. (Wielkich Jednostek) i nowoczesne radiostacje N1<sup>3)</sup>, ale też o zaprzęgu konnym dla dowództw pułków. Niestety

oficerowie szyfrowi, posiadający szyfry operacyjne nie podlegali Dowódcy Łączności, lecz Szefowi Oddz. II. Ponieważ swoim stopniem wojskowym przewyższali nie raz dowódców radiostacji, więc nie zawsze ułatwiali dowódcom radiostacji szybkie i dokładne wykonanie rozkazów Dowódcy Łączności.

Naczelne Dowództwo miało w dyspozycji ultra nowoczesną radiostację W1<sup>4)</sup>. Siła nadawcza tej stacji byłaby zdradziła Niemcom natychmiast jej miejsce postoju i zarazem miejsce postoju Naczelnego Dowództwa. Mając na względzie zdruzgotanie tras telegraficznych i telefonicznych spowodowanych przez lotnictwo niemieckie, wspomnianej W1 nie użyto, by nie spowodować bombardowania N.W.

Pierwsze dni wojny to konsternacja i nieopisany chaos w Naczelnym Dowództwie przy ulicy Puławskiej w Warszawie. Zwała się lawina nowo przydzielonych oficerów. Biura znajdują się na piętrach, a ich odpowiedniki w ciasnych pomieszczeniach w podziemiu. Jedne i drugie lokale są obsługiwane przez oddzielne centrale telefoniczne. Z chwilą alarmu lotniczego cały personel zbiega do podziemi i oczekuje długie dziesiątki minut na przełączenie ich aparatów telefonicznych na centralę podziemną. Z chwilą odwołania alarmu następuje proces odwrotny. A wszystkim zależy na czasie, gdyż przed każdym referentem narasta stos problemów, wymagający telefonicznego porozumienia z szeregiem instytucji. Trzeba przyznać, że oficerowie wielu Oddziałów Sztabu walecznie pozostawali w biurach nadziemnych, ale mechanicy, przełączający linie o tym nie wiedzieli. Kto miał ten szalony pomysł tworzenia dwóch central w jednym budynku – nie wiem. Należało stworzyć jedną dużą centralę z połączeniami na „górze” i na

1) Radiostacja Korespondencyjna Grupy Armii

2) Radiostacja Korespondencyjna Armii

3) Radiostacja Niższego Szczebla N1

4) Radiostacja Wyższego Szczebla W1

„dół”. Poza tym już na Puławskiej doręczono wszystkim Listę Kryptonimów. Wszyscy zwracali się do plk. Łukomskiego, do mnie jako jego zastępcy o wyjaśnienia i pomoc. Nie potrafiłszy im dać wyjaśnienia, mimo, że obaj jako byli wykładowcy Wyższej Szkoły Wojennej temat ten znaliśmy; autorem był jeden z oficerów M.S. Woisk., który doprowadził konspirację do absurdu.

Czytelnikowi może się wydawać, że za dużo czasu poświęcam na omówienie tak drobnego detalu, ale chaos tego pierwszego dnia wojny był wstrząsem nerwowym dla oficerów nowowcielonych do Naczelnego Dowództwa. Podrywał w nich zaufanie w wartość i celowość wszystkich planów operacyjnych, po prostu mówiąc „opadały ręce” i zakradało się powoli, ale bezustannie zniechęcenie, bo nie należy zapominać, że jednocześnie nadchodziły niepokojące wiadomości z frontów walki.

Co się działo na froncie? Niemal wszystkie linie telegraficzne i telefoniczne zostały zniszczone przez lotnictwo. Szczupły personel pocztowo-telegraficzny nie był w stanie naprawić ich mimo całej ofiarności. Z dużymi trudnościami udawało się czasem nawiązać połączenia z tą lub inną armią, ale wiadomości nadchodziły zbyt późno i bez możliwości potwierdzenia wiadomości wręcz alarmujących. Oto do czego doprowadziło oparcie się na pocztowych liniach oraz zlekceważenie przez Sztab groźby lotnictwa niemieckiego.

Z kolei Naczelne Dowództwo musiało oprzeć się na łączności radiowej z całym tak uciążliwym szyfrowaniem i deszyfrowaniem. Raptem w drugim czy trzecim dniu wojny hiobowa wiadomość! Szyfry wpadły w ręce niemieckie. Ten drobny wypadek powodował niemożność użycia radia. Należało czym prędzej dostarczyć oddziałom nowe szyfry. Oddział II miał na szczęście nowe, odmienne egzemplarze, ale odmówił zajęcia się ich przesyłką. Prosiłem wobec tego Oddział III o oficerskiego kuriera na samochodzie, ale Komendant Kwatery Główny

nie miał żadnego wolnego. Zwróciłem się więc do Dowództwa Lotnictwa o przetransportowanie szyfrów do Armii „Kraków” ale obawiano się tam tej odpowiedzialności i zdecydowano oddać do mojej dyspozycji oficera lotnika rezerwy z małym sportowym samolotem. Oddział III z dużym wahaniem podał przypuszczalne miejsce postoju dowódcy Armii. Lotnik nie znał Krakowa i nie miał pojęcia gdzie szukać Fortu „Pasternik”. Ja na szczęście znałem, chodziłem przez całe osiem lat do gimn. Sobieskiego i znałem okolice Krakowa świetnie. Naszkicowałem więc trasę lotu od Wawelu ponad Bielany do samego Fortu. Lotnik dowiózł szyfry i można było wznowić korespondencję radiową. Czy omawiane zawieszenie łączności radiowej było do uniknięcia? Tak, można było unieszkodliwić sukces niemiecki zdobycia polskich szyfrów. Oddział II powinien był przewidzieć takie wypadki i zdeponować przy każdej Armii odpowiednią ilość tablic „dodajnikowych”.

Wprowadzenie nowej tabeli dodajnikowej uniemożliwia odszyfrowanie radiogramu. W 2-gim Korpusie używaliśmy szyfry przez nas samych (ja i referent radiowy) zestawione i zakodowane wtórnie tablicą dodajnikową, której grupy cyfr nigdy dwukrotnie nie mogły być użyte. Szyfry były aprobowane przez Dowództwo Frontu Włoskiego. Gdyby były wpadły w ręce niemieckie wystarczyłoby dostać z dywizji lub Korpusu nową serię, a tabelę zdekonspirowaną spalić. Muszę tu dodać, że szyfry układane przez oficerów wojsk łączności, były znacznie uproszczone przez obfite zastąpienie całych szablonowych zdań meldunku lub rozkazu jedną tylko grupą pięć cyfrową.

Jeszcze nie ustabilizowała się praca na Puławskiej, gdy zaskoczyło nas niesamowite zarządzenie plk. Cepy. Wszyscy czterej etatowi oficerowie dyplomowani Naczelnego Dowództwa Łączności zostali przesunięci w sposób następujący: plk. Łukomski do szumnie zwanej Środkowej Grupy Armii, a właściwie do Dowództwa Obrony Warszawy; Ja, ppłk. dypl. M. Zaleski, do Siedlec (to samo mjr. dypl. T. Rola i mjr. dypl. W. Jamka

w przypuszczeniu, że tam może przenieść się Naczelny Wódz ze ścisłym Sztabem. Na utworzenie takiego Ośrodka wystarczał jeden z wymienionych oficerów, podczas gdy inni mieli i mieliby aż nadto ważniejszych zadań dokończenia organizacji poszczególnych referatów, a przede wszystkim gwałtownie szukać środków celem ulepszenia połączeń na drogach okrężnych, wysunięcia nawet Ośrodków Łączności na niektórych kierunkach, wydania wytycznych dla Dowódców Łączności Armii. Bardzo dużo jeszcze można było zrobić w dziale radia, o czym będzie mowa poniżej, można było jeszcze powiększyć ilość kurierów samochodowych, należało wyposażyć technicznie ewent. ścisły Sztab w Siedlcach, przypilnować zorganizowanej ewakuacji sprzętu, zwłaszcza stu (podobno) radiostacji z Warszawy, które nigdy się już nie znalazły, itp. Nie staram się nawet domyślać przy czyny tak niesamowitego rozkazu, bo i tak się nie domyślę, w każdym razie stosunkowo szybko ściągnięto nas do Naczelnego Dowództwa z powrotem (niestety po wieczasie), bo każdy dzień był na wagę złota i nie do odrobienia.

Powracam do Siedlec. Na wypadek przybycia tam rzutu operacyjnego N.W. przegotowaliśmy centralę telefoniczną i połączenia do ewent. biur. Włączyliśmy do Ośrodka jedyną radiostację RKA zaszytą w podsiedleckim lasku. Nie posiadała ani szyfrów ani szyfrantów. Majorowi Roli i Jamce po paru dniach znudziło się wreszcie to bezsensowne oczekiwanie i odjechali do Nacz. Dowództwa znajdującego się już w Brześciu. Prawdopodobnie dzięki ich interwencji w dwa dni później płk. Cępa przysłał na moje miejsce majora Łobockiego, który z całą niemal obsadą Ośrodka wpadł w ręce niemieckie w parę godzin później. O tak bliskim zagrożeniu Siedlec nikt z nas nie wiedział.

Jak zorganizował płk. Cępa łączność w czasie naszego pobytu w Siedlcach? Linie telegraficzne i telefoniczne do Warszawy były zniszczone. To samo stało się z liniami

prowadzonymi na odcinek południowy i północny frontu. Radiostacji W1 nie chciano rozwijać, by nie zdradzić miejsca postoju Nacz. Dowództwa. Na szczęście istniało połączenie do Dowództwa Marynarki Śródłądowej w Pińsku i stamtąd połączenie radiowe do Dowództwa Marynarki Wojennej w Warszawie. Prztelefonowywano więc zaszyfrowane rozkazy do Pińska i stamtąd radiem do Warszawy, a ta mając czynną radiostację, prawdopodobnie na Forcie Mokotowskim, przekazywała rozkazy do adresatów. W pewnym momencie Naczelne Dowództwo pozostało bez szyfrantów i bez szyfrów. Nakazany był wyjazd Nacz. Dowództwa z Brześcia. Oficerowie szyfrowi dołączyli szybko do swego „macierzystego” oddziału, t.j. Oddz. II. Wkrótce potem zostało przesunięcie Nacz. Dowództwa opóźnione o 48 godzin; szyfrantów już nie można było ściągnąć do Brześcia i niezmiernie ważny rozkaz operacyjny, nakazujący wycofanie się Armii gen. Kutrzeby i Bortnowskiego na Warszawę i Puszcę Kampinowską płk. Cępa osobiście przztelefonował do mnie do Siedlec i nakazał przekazać tekstem otwartym do Warszawy. Wysyłając ten rozkaz w nakazany sposób byłem przekonany, że chodziło tu o celowe zmylenie Niemców.

Poruszę jeszcze sprawę przypadkowego posłużenia się stacją Marynarki wojennej w Pińsku i Warszawie. Podobnych sieci było dużo, a mianowicie: sieć K.O.P.u, sieć Straży Granicznej i sieć krótkofalowa amatorka. Dlaczego nie włączono ich do Planu Łączności na wypadek wojny? Zapewne dlatego, że nie przewidziano „blitzkriegu” i nie dano płk. Łukomskiemu odpowiednich instrukcji. Ale jeszcze i teraz, w ostatniej chwili można było część przynajmniej tych sieci użyć dla wojska, tylko, że nie miał kto zająć się tym, bo referat radiowy siedział beczynnym w Siedlcach.

Od chwili wyruszenia z Brześcia, łączność Nacz. Dowództwa przestała istnieć, gdyż Nacz. Dowództwo niemal codziennie zmieniało miejsce postoju. Jedynie w czasie

postoju w Kołomyi, wykorzystano krótkofalową radiostację Straży Granicznej do łączności z Warszawą i na tym skończyła się rola Nacz. Dowództwa Łączności.

Dnie smutne, po prostu tragiczne, ale zapytajmy szczerze kto ponosi główną winę?

### Bitwa o Monte Cassino.

Bitwa ta przyniosła Wojskom Łączności najwięcej sławy. Łączność pracowała tu w zupełnie innych warunkach, niż w kampanii wrześniowej. Dowódca Łączności był równorzędny stopniem i autorytetem z Dowódcą Artylerii, Saperów i Kwatermistrzem. Dowódca Łączności dysponował wszystkimi środkami łączności, a szyfranci wchodziłi pod rozkazy dowódców radiostacji. A także bogate wyposażenie techniczne! A ponad wszystko jacyż wspaniali Dowódcy Korpusu i Dywizji. Żołnierz Wojsk Łączności patriotyczny i tak ofiarny, jakiego nie widziałem nigdy przedtem. Zastrzegam się od razu, że podobni żołnierze byli też w 1 Dyw. Panc. Bryg. Spadochronowej, a żołnierzy Armii Krajowej uważam za bohaterów.

Ośmiodniowa bitwa o Monte Cassino, musiała mieć swoje kryzysy. Broniły Klasztoru i całego rejonu, zamykającego drogę do Rzymu, najlepsze wojska niemieckie, starannie dobrane dla byłej Armii Rommela zahartowane w wielu bitwach, dowodzone przez oficerów wielu bitew, a walczył z nimi żołnierz, wyniszczony obozami i głodem sowieckim i niemieckim. Dla przeważającej większości Bitwa o Monte Cassino była pierwszą bitwą. Jedynie wprost fanatycznym ukochaniem Ojczyzny i gotowością oddania dla Niej, nawet życia, przewyższali oni zimnego żołnierza niemieckiego – robota wojennego.

Natarcie 2-go Korpusu obchodziło Klasztor od północy, 3 Karpacka Dyw. Strzelców nacierała po osi bliższej Klasztoru, a 5. Kresowa po osi dalszej. Obie osie równoległe i tak zbliżone do siebie, że cała artyleria korpusu mogła je wspierać, zależnie od potrzeby. Ale jednocześnie zatrzymanie na jednej osi, odsłaniało flankę drugiej. Kry-

zys bitwy nastąpił rano dnia 12 maja. Natarcie 5. Wileńskiej Brygady musiało przekroczyć dolinę i skaliste wzgórze „Widmo”, zasłane bunkrami, zbudowanymi z głazów i tak zlewającymi się z terenem, że dobrze widzialne były dopiero z odległości kilkunastu kroków. Ani artyleria, ani miotacze min wówczas już piechocie nie mogły pomóc. Żołnierz wdzierał się na bunkry, rozwałł rękami głazy, ale albo otrzymywał ogień flankowy, albo zostawał odrzucony przez natychmiastowe przeciwuderzenia niemieckich odwodów. Straty były ogromne. Żaden żołnierz świata nie wytrzymałby tego piekła na ziemi. Tu przecież załamały się uprzednie natarcia amerykańskie, francuskie, hinduskie, angielskie i nowozelandzkie. Nie można się dziwić, że 5. Brygada nie mogła wytrzymać. Przeciwnie należy podziwiać, że wytrzymała kilkanaście godzin walki w takich warunkach. Brygada zdziesiątkowana musiała się cofnąć na pozycje wyjściowe, wobec czego 3. K. Dyw. S. musiała opuścić świeżo zdobyte wzgórze 593. Gdyby 5. Brygada nie mogła utrzymać nawet pozycji wyjściowej, to zostałyby odsłonięte tyły 3. Dywizji. Konieczne stało się wkroczenie gen. Andersa. Na dojazd samochodem nie było czasu, konieczna była rozmowa telefoniczna i to natychmiastowa. Ponieważ nieszczęścia idą zawsze w parze, więc w momencie, gdy gen. Anders zaczął już rozmowę z płk. Rudnickim (zastępca Dowódcy 5. Dywizji, wydelegowany na punkt taktyczny „gorejacy”) lotnik niemiecki zbombardował i unieruchomił Wysunięty Ośrodek Łączności Korpusu przez który przechodziły główne połączenia telefoniczne Korpusu. Były oczywiście połączenia zapasowe, a więc przez 3. Dyw. do 5. Dyw. przez linię łączącą Kwatermistrzowskie rzuty Korpusu i Dywizji, wreszcie przez sieć Dowódcy Artylerii Korpusu. Każda z tych linii mogła być oczywiście użyta dla omawianej rozmowy, ale tym samym przerywało się normalnym „abonentom” ich własne meldunki, informacje i rozkazy. W momencie największego kryzysu bitwy, należy odizolować punkt zapalny i



nie rozszerzać chaosu na oddziały sąsiednie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności i zapewne dobrze pamiętając jak systematycznie i po prostu intuicyjnie Niemcy potrafili niszczyć połączenia polskie we wrześniu, kazałem w ostatnim dniu przed rozpoczęciem natarcia zbudować jeszcze jedno połączenie do 5. Dywizji bardzo okrężną drogą, ale też mało narażone na ogień nieprzyjaciela. Nakażłem zrobić dyżury oficerskie na każdej z pośród nich central, postawić w stan pogotowia zespoły naprawcze i po paru minutach wręczyłem gen. Andersowi mikrotelefon z płk. dypl. Rudnickim, oczekującym na drugim końcu linii. W ciągu kilkunastominutowej rozmowy gen. Anders mógł nie tylko zorientować się w stanie psychicznym żołnierza, zatwierdzić i uzupełnić zarządzenia płk. Rudnickiego, ale ponadto przelać w załamanych żołnierzach swą sugestywną wiarę w ostateczne zwycięstwo i odwołać się do patriotyzmu żołnierzy którzy miłość do Polski przenieśli w sercach swoich przez wszystkie łagry i miejsca męki.

W czasie uroczystej dekoracji żołnierzy 11 Batalionu Łączności (korpuśnego), przeprowadzonej przez gen. Andersa, powiedział On:

„Gdyby łączność, była zawiodła w najkrytyczniejszym momencie bitwy pod Monte Cassino, bitwa byłaby przegrana. Nie zawiedliście i bitwę wygraliśmy”.

Te słowa tak świetnego Dowódcy o roli łączności w jednej z najślawniejszych bitew historii polskiej, to słuszny tytuł do dumy każdego żołnierza łączności.

W artykule moim starałem się przedstawić dwa momenty z życia Wojsk Łączności. Jeżeli moment wrzesniowy był tak smutny, nie ponosił tu winy żołnierz łączności. Główna wina była tych, którzy nie poszli za naczelnym wskazaniem Wielkiego Marszałka, że „bez łączności nie ma zwycięstwa”.

Wyjątki z listu:

„... Akt drugi — napisałem jak zawsze z entuzjazmem i dumą, że byłem uczestnikiem szeregu zwycięstw. To zrozumiałe, bo ludzkie. Akt pierwszy gnębił mnie i leżał na sercu od dawna. Przyznaję się z całą szczerością, że ja może (i to bardzo może) popełniłbym te same błędy co Łukomski zasugerowany lekkomyślnością Sztabu Głównego. Co do błędów Cepy (zdezorganizowanie własnego sztabu), to wątpię (i to bardzo wątpię) czy bym się na coś podobnego mógł zdobyć. Przecież obaj prawnicy (na razie mam dwóch) wyparliby się takiego pradziadka. Starałem się temat Cepy obejść, potraktowałem go więc (porównując go do tego, co Rola wydrukował) raczej za delikatnie, gdyż „de mortuis nihil nisi bene”. Głównym jednak celem aktu pierwszego było wskazać naszym byłym kolegom, że właściwe powody złego działania łączności miały swoje źródła w czasie dość odległym i były niezależne od łączności. Nie Łukomski lub przedwojenny Cepa, ponosił za to winę. I to samo powtarzało się na wszystkich szczeblach dowodzenia...”

Mieczysław Zaleski, płk. dypl.  
Banfield (Argentyna)  
20.X.76.

inż. Tadeusz Lisicki

## SKOMPUTERYZOWANE DOWODZENIE

Komputer w dowodzeniu.

*W maju 1976 r. odbyło się sympozjum pt. „Wizja obrazu pola walki w nowoczesnej wojnie totalnej”, które w Londynie organizowało Koło Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie. Z ramienia Związku Łącznościowców „Skomputeryzowane Dowodzenie” wygłosił ppłk dypl. inż. Tadeusz Lisicki. Wypowiedź tę podajemy w skrócie — Red.*

Z trzech podstawowych elementów pola walki które uległy przemianom: ognia, pancerza i ruchu, największy wpływ na pracę dowódcy i jego sztabu wywarł ruch. Ruch jest pokonywaniem przestrzeni w czasie, a czynnik czasu przybrał obecnie zupełnie inny wymiar. Tempo współczesnych działań bojowych stało się tak szybkie, że jeśli rozkazy i wytyczne przełożonych nie będą nadchodzić dostatecznie szybko i prawie nieprzerwanie, działania podległych jednostek mogą stać się bezcelowe i bezskuteczne.

Przemiany jakie zaszły na polu walki w zasadzie nie zmieniły roli dowódcy i jego sztabu. Dowódca pobiera decyzję w jaki sposób zamierza wykonać swoje zadanie, a sztab przygotowuje elementy do tej decyzji i nadzoruje jej wykonanie. Elementy decyzji opracowywane są na podstawie otrzymywanych informacji, których ilość i aktualność niezmiernie wzrosła dzięki zastosowaniu nowoczesnych środków elektronicznych. Tak samo dzięki zastosowaniu nowych urządzeń elektronicznych, głównie komputerów uległ zmianie sposób pracy sztabu, dużo czynności pracochłonnych zostało skomputeryzowanych. Pozwoliło to na znaczne skrócenie czasu na ich wyko-

nanie oraz zmniejszenie ilości pracowników w dowództwach.

Wojska Łączności, które były i są wojskami dowodzenia uległy w ostatnich latach dużym przemianom. Postęp w dziedzinie elektroniki dał jej nowe środki techniczne i znacznie ulepszył dawniejsze. Amerykańskie wojska łączności dodały do swej nazwy „Electronics” i dzisiaj nazywają się „Signals and Electronics”.

Jaki jest ten postęp i jakie nowe urządzenia otrzymał do wykorzystania dowódca?

Gdy sięgniemy wstecz do lat powojennych, to zobaczymy, że lampa elektronowa ustąpiła miejsca tranzystorowi. Pozwoliło to na umieszczenie w jednej stopie sześcienną zamiast 200 różnych komponentów przeszło 2000, czyli znaczne zmniejszenie sprzętu. Ponadto tranzystory nie zużywają tak dużej ilości elektryczności jak lampy, co również wpłynęło na zmniejszenie wielkości i wagi sprzętu. Z kolei tranzystory zostały zastąpione obwodami scalonymi, co zwiększyło ilość komponentów do 2400 na powierzchni ½ centymetra kwadratowego przy minimalnym zużyciu prądu elektrycznego. Ta nowa technika stała się podstawą mikrominiaturyzacji sprzętu. Przy nowych metodach masowej produkcji udostępniła na przykład kieszonkowe kalkulatory po stosunkowo niskiej cenie każdemu, który woli nacisnąć kilka klawiszy by podzielić 3.27 przez 1.73, niż wziąć ołówki i papier. Te kieszonkowe kalkulatory są zmminiaturyzowanymi komputerami i posiadają „pamięć” która jest jedną z zasadniczych cech komputerów. Ich wielkość jest właściwie ograniczona wielkością palca i klawiszy oraz możliwością odczytania wyświetlonych cyfr.

Mikrominiaturyzacja powiększyła także w bardzo dużym stopniu pewność działania sprzętu. Zastosowana technika M.O.S. (Metal-Oxide-Semiconductor) wyeliminowała połączenia przewodami poszczególnych komponentów, a małe wymiary uczyniły sprzęt odporniejszy na wibracje i uderzenia.

Komputery mogą współpracować ze sobą, bo impulsy elektryczne, które wykonują poszczególne działania i dają odpowiedzi, mogą być przesyłane drogą radiową. Naciśnięcie klawisza w jednym miejscu może uruchomić komputer w innym miejscu poprzez przystosowaną do tego celu aparaturę radiową

Sieć łączności pokrywająca pole walki i jego zaplecze służy nie tylko do rozmów telefonicznych, przekazywania telegramów dalekopisem, obrazów telewizyjnych, informacji graficznych, komputerowych i radarowych, ale także do ich utajniania. Jest to możliwe dzięki nowemu systemowi techniki pulsowej zwanemu „Digital Communication”.

W jaki sposób dowódca i jego sztab może w pełni wykorzystać możliwości jakie daje komputer?

Najogólniejsza odpowiedź na to pytanie będzie: poprzez automatyzację niektórych procesów dowodzenia. Należy tu podkreślić, że automatyzacja, to nie jest dowodzenie przez automaty, a jest jedynie wykorzystaniem urządzeń lub maszyn do jego usprawnienia. Automatyzacja dowodzenia wojskami w zasadzie nie zmienia treści, ilości i kolejności prac dowódcy i jego sztabu. Przy automatyzacji komputery będą jedynie wykonywać część pracochłonnych czynności. Podstawą dowodzenia jest nadal decyzja dowódcy. Podjęcie tej decyzji możliwe jest tylko po wnikiwaniu w istotę zadania i uwzględnieniu wszechstronnej oceny sytuacji.

Ocena sytuacji jest najbardziej pracochłonnym procesem i dlatego wymaga zautomatyzowania w pierwszej kolejności.

Szczególnie wiele czasu i wysiłku potrzeba dla określenia ilościowego i jakościowego stosunku sił walczących stron. Ponadto ko-

nieczne jest prowadzenie oceny terenu i czasu

Jedynie po analizie wymienionych danych dowódca będzie mógł ocenić położenie przeciwnika czyli jego silne i słabe strony. We współczesnych warunkach dowódcy i jego sztabowi bardzo wiele trudności nastręcza zebranie i opracowanie w krótkim czasie wszystkich danych niezbędnych do sformułowania uzasadnionej decyzji. Ze względu na te trudności po prostu zabraknie czasu na kierowanie całą działalnością wojsk i należyte kierowanie wysiłków tych wojsk na terminowe i skuteczne wykonanie podstawowych zadań. Dlatego też stało się konieczne zautomatyzowanie znacznej części prac wykonywanych w okresie przygotowawczym i przełożenie ich na „język komputerowy”.

Jeszcze trudniejszą i bardziej skomplikowaną przedstawia się praca sztabu w toku działań. W celu zapewnienia ciągłości dowodzenia w toku działań, sztab powinien: prowadzić ciągłe rozpoznanie nieprzyjaciela i terenu – stale obserwować i znać sytuację, stan i charakter działań nieprzyjaciela i wojsk własnych, oraz sąsiadów i systematycznie meldować dowódcy i sztabowi nadrzędnemu o wszystkich zmianach sytuacji, przekazywać w odpowiednim czasie wszystkie decyzje i rozkazy podległym dowództwom, nadzorować wykonanie rozkazów.

Powstaje pytanie, jakiego rodzaju prace spośród wyżej wymienionych mogły być wykonywane przez komputery w sensie współdziałania tych maszyn z nowoczesnymi środkami łączności, rozpoznania, radaru, telewizji i innych środków technicznych. Uwzględniając współczesny stan rozwoju elektroniki a w szczególności elektronicznej techniki obliczeniowej przykładów można na podstawie prasy amerykańskiej stwierdzić, że przy działaniach zaczepnych następuje zautomatyzowanie następujących rodzajów pracy:

- ocena nieprzyjaciela,
- obliczenie ilościowego stosunku wojsk własnych i nieprzyjaciela, jak również sto-

sunku ich uzbrojenia i sprzętu bojowego;  
– przygotowanie potrzebnych danych do dokonania wyboru kierunku głównego wysiłku;

– określenie średniego tempa natarcia;  
– dokonania podziału obiektów obrony nieprzyjaciela według przeznaczonych do tego własnych środków zniszczenia, takich jak broń jądrowa, lotnictwo, artyleria i inne środki;  
– przekazanie rozkazów i innych informacji do oddziałów podległych.

Rozpatrzmy teraz w jaki sposób rozwiązuje się zagadnienia automatyzowania powyższych czynności oraz jak formułuje się zadania taktyczno-operacyjne przeznaczone do rozwiązania za pomocą komputerów oraz jakie są wymagania w stosunku do należytego wykorzystania pracującego w sztabie komputera.

Jak wiemy komputery służą między innymi do przetwarzania danych. W literaturze amerykańskiej zautomatyzowany system dowodzenia często nazywany jest automatycznym systemem przetwarzania danych, ponieważ może on dokonywać kolejno szeregu obliczeń poczynając od otrzymania danych a kończąc na wydaniu gotowej odpowiedzi, bez wtrącania się człowieka do tego procesu.

Amerykański zautomatyzowany system przetwarzania danych zawiera cztery podsystemy:

- dowodzenia, mający na celu zabezpieczenie dowodzenia podległymi (oddziałami) jednostkami;
- rozpoznawczy, zabezpieczający przechowywanie, analizę, przetwarzanie i wydawanie danych rozpoznania;
- administracyjno-ewidencyjny, zabezpieczający potrzeby administracji i stanu osobowego;
- zaopatrzenia, obejmujący przetwarzanie danych w zakresie zaopatrzenia, transportu, służby zdrowia i tp.

Każdy z tych podsystemów składa się z grupy komputerów, posiadających opracowane programy robocze, a także określony

jest tryb ich eksploatacji. Są one włączone w sieć łączności.

Wszystkie te podsystemy stanowią jednolity, zamknięty system operacyjno-taktyczny, służący do przetwarzania danych.

W jaki sposób powinien on być wykorzystany?

Wiadomo, że w okresie przygotowania do akcji sztab rozporządza zazwyczaj pewnymi danymi, dotyczącymi nieprzyjaciela w takich zagadnieniach jak:

- rozmieszczenie jednostek nieprzyjaciela, w szczególności artylerii lotnisk i lotnictwa;
- ich uzbrojenie, stany i stopień gotowości bojowej;
- posiadanie umocnień;
- charakter obrony nieprzyjaciela na różnych odcinkach i w głębi jego obrony;
- teren i inne informacje.

Komputer umożliwia wprowadzenie tych wszystkich informacji do pamięci i przechowywanie ich do czasu gdy będą potrzebne dowódcy. Wszystkie nowe wiadomości o nieprzyjacielu, uzyskane przez różne rodzaje rozpoznania (lotnicze, radiowe, poprzez walkę i inne rodzaje) mogą być niezwłocznie, automatycznie przekazywane za pomocą środków technicznych i automatycznie wprowadzane do maszyny.

Praktycznie przekazywanie przez radio danych odbywa się za pomocą przenośnych klawiszowych urządzeń. Informacja jest najpierw gromadzona w nadajniku, a potem za naciśnięciem klawisza przekazywana automatycznie z bardzo dużą szybkością do ośrodka odbiorczego, który wprowadza odebrane sygnały do komputera, gdzie są gromadzone wraz z danymi uzyskanymi wcześniej od podległych i przełożonych sztabów, oraz od sąsiadów.

Maszyna jednak nie potrafi dać oceny nieprzyjaciela na podstawie niektórych zasadniczych elementów jak na przykład jego stanu moralnego, możliwości manewrowania na polu walki, koncentracji lub rozpoznania, szczególnie w przypadku groźby rażenia bronią jądrową. Wymienione parametry,





Franciszek Różycki

## ALEKSANDER GRAHAM BELL WYNAŁAZCA TELEFONU.

*„Come here Mr Watson, please, I need you!”  
... powiedział młody Szkot Aleksander  
Graham Bell do wykonanego przez siebie  
nadajnika. Były to prawdopodobnie pierw-  
sze słowa wypowiedziane przez telefon  
100 lat temu w Bostonie ( St. Zjedn.)  
10 marca 1876 roku.*

*Telefon stał się jednym z najbardziej po-  
pularnych technicznych środków łączności  
w Polskich Siłach Zbrojnych, chociażby tyl-  
ko dlatego warto wspomnieć o jego powsta-  
niu i o jego wynalazcy, którego nazwisko  
dziś jest nazwą przodującą w dziedzinie  
teletechniki i elektroniki firmy amery-  
kańskiej (Red.)*

Przechodząc z epoki do epoki, człowiek stopniowo wyposażał się w porozumiewawcze środki będące elementem ugruntowania swego istnienia i ewolucji. Począwszy od prymitywnych głosów, udoskonalanie mowy, porozumiewawcze znaki, wynalezienie pisma i druku, telegrafu, telefonu, radia – aż po najnowocześniejsze komunikacyjne środki pozwalające na rozwiązywanie tajemnic natury, badając zakątki wszechświata w odległości setek milionów lat światła.

Każdy z powyższych porozumiewawczych środków spełniał – i wciąż spełnia – ważną rolę w rozwoju naszej cywilizacji. Jednym z tych środków jest telefon który w tym roku obchodzi setną rocznicę „swych narodzin”. 7-go marca 1876 roku, został zarejestrowany w Stanach Zjednoczonych patent pod numerem 174 465 na urządzenie umożliwiające przekazywanie ludzkiej mowy (głosu) pomiędzy dwoma punktami

połączonymi metalowym przewodem. Konstruktorem tego prymitywnego wówczas urządzenia był Aleksander Graham Bell, który – aczkolwiek nie posiadał technicznonaukowego wykształcenia – wykorzystał odkrycia i zdobycze fizyków z zakresu elektromagnetyki.

Aleksander Bell był Szkotem. Urodził się w Edynburgu 3-go marca 1847 roku. Przodkowie jego byli ściśle związani z mową. Ojciec Melville Bell – słynny recytator – wykładał retorykę na uniwersytecie w Edynburgu, dziadek zaś, prowadził znaną wówczas w Londynie szkołę, ucząc za pomocą mechanicznych urządzeń mowy pozbawionych słuchu od urodzenia. Po zgonie dziadka, ojciec przeniósł się z rodziną do Londynu gdzie objął wymienioną szkołę aby nadal nieść upośledzonym przez naturę pomoc. Młody Aleksander nie był tu zbyt szczęśliwy. Pragnienia ojca nie zaspokoili – studiów uniwersyteckich nie ukończył. Studiował wprawdzie przez dwa lata anatomię i fizjologię, co znacznie mu pomogło w konstrukcji manekinów które imitowały mechanicznie ruchy jamy ustnej i krtani i to go właśnie najbardziej fascynowało i spowodowało zakiełkowanie w jego myśli przekazywania mowy na dalszą odległość. Z wynikami swych eksperymentów młody Bell zwierzył się A.J. Ellisowi, naukowcowi, który wskazał mu osiągnięcia zrobione w tej samej dziedzinie przez niemieckiego naukowca Helmholtza. Studiując prace Helmholtza z zakresu elektromagnetyki (znając słabo język niemiecki) Bell źle zrozumiał, że jakoby Helmholtz wynalazł sposób przekazywa-

nia na odległość głosu za pomocą elektromagnetycznych urządzeń. Fakt ten spotęgował chęci młodego Bella do dalszej pracy w tym kierunku.

Gruźlica w owych czasach była nie mniej groźna od trądu. Dotknęła rodzinę Bellów zabierając dwóch synów, zarażając trzeciego i ostatniego o którym tu mowa. Aby ratować życie Aleksandra Grahama, ojciec usłuchał rady przyjaciół i podobnie jak niegdyś Szopen na Majorce, wyemigrował do Kanady, osiedlając się koło Brantford w Ontario. Po wyzdrowieniu dzięki klimatycznym warunkom, młody Aleksander Bell poświęcił się intensywnej nauce poznając bliżej osiągnięcia Helmholtza w dziedzinie elektromagnetyki. Po przeniesieniu się do Bostonu, gdzie ojciec jego został zatrudniony przez Instytut Technologiczny, Aleksander Bell zetknął się w laboratorium z wykwalifikowanymi elektrykami pracującymi w zakresie szybko rozwijającego się telegraficznego przemysłu. Korzystając z pomocy techników, zdołał skonstruować aparat umożliwiający przekazywanie kilku równocześnie telegramów na jednym przewodzie. Rząd Brytyjski nie był zainteresowany jego wynalazkiem który Bell nazwał „Telegrafem Harmonijnym” i przedstawił do opatentowania. Będąc cudzoziemcem, nie mógł go również opatentować w Ameryce. Z myślą o ochronie swojego wynalazku przez opatentowanie, Aleksander Bell w roku 1882 został natura-

lizowanym obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Myśl o możliwości przekazywania głosu po przewodzie nie przestawała Aleksandra frapować. Z wynikami eksperymentów i dalszymi trudnościami zwierzył się sławnemu w zakresie fizyki Joseph Henry’emu. Henry zachęcał go do dalszych doświadczeń wskazując na osiągnięcia w tej samej dziedzinie sprzed 30 laty. Niemiecki komediant popisywał się mówiącym manekinem własnego wynalazku. Naukowiec Reis, też Niemiec, w 1860 roku demonstrował przekazywanie całych sylab po przewodzie ale nigdy nie wpadło mu do głowy aby spróbować do aparatu mówić. Sposobu tego nie wykorzystał też naukowiec włoski który słyszał głosy stukania telegraficznych urządzeń.

Podczas dalszych doświadczeń, zaskoczyły Bell’a odgłosy jakie usłyszał w odbiorniku, więc podbiegł do przyjaciela w drugim końcu zobaczyć co się stało. Okazało się, że głosy wydawała obłuzowana membrana – telefon się narodził!

Aleksander Graham Bell zmarł w 1922 roku. W laboratoriach Spółki Bell został wynaleziony tranzystor, który wyniósł komunikację na b. wysoki szczebel, bez którego międzyplanetarne loty byłyby nie do pomyslenia.



Alfred Pokultinis.

## WSPOMNIENIA Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

### I. Z sowieckich łagrów do Polskiego Wojska w Rosji

Do O. Org. A. w Guzarze dotarłem dnia 14 marca 1942 roku. We wrześniu 1941 roku zostałem zwolniony z łagru Workuta II, sytuowanego w europejskiej Rosji u podnóża gór Uralskich, za północnym kręgiem polarnym. Z towarzyszem niedoli Wackiem Pupko zabraliśmy należny nam na drogę prowiant oraz przydział pieniężny. Zwalniający mnie oficer NKWD pożegnał mnie słowami: „Nu gospodin porucznik, żełaju Wam uspiecha, wozwraszczajties gierojem”, co w tłumaczeniu polskim to by brzmiało: „Panie Poruczniku, życzę Panu powodzenia, wracajcie bohaterem”. Znamienna zmiana. Dotychczas bowiem czynniki oficjalne w łagrach zwracały się do mnie per „taki owaki w to i tamto trącany faszysta” (ostatnie tylko bardzo przybliżone i dowolne tłumaczenie z rosyjskiego). Rzeką Uśc Ussa, bodajże ostatnim małym stateczkiem 13 września 1941 roku opuściliśmy przystań w Workucie. Zima pędziła za nami. Rzeka zamarała i odcinała drogę naszym towarzyszom, którzy jeszcze pozostali w obozach pracy. Wielu z nich dopiero wiosną następnego roku opuści te obozy i nie wszyscy zdążą na czas do Wojska Polskiego, dowodzonego przez generała Władysława Andersa.

Ponad 400 km rzeką przed nami miejscowość Uśc Ussa. Po kilku dniach tam docieramy. Na statku załoga dzieli się z nami gorącą wodą (kapiatok), poza tym skazani jesteśmy na suchy prowiant. Pierwszy gorący posiłek znajdujemy w stołówce w Uśc Ussa. Spędzamy nocę w opuszczonej

szopie, a w dzień czynimy starania dostania się na dalszy transport. Za parę dni, trochę większym, niż poprzednio statkiem, teraz już rzeką Pieczorą, płyniemy do odległej zaledwie 120 km Koźwy. Na statku spotykamy grupkę uwolnionych z łagrów Polek. Dzielimy się z nimi naszymi skromnymi zapasami żywności.

Do Rosji, do łagrów, wieźli nas w zakratowanych wagonach z zabitymi od zewnątrz oknami. Teraz, jako wolny człowiek, nie mogłem się powstrzymać od podziwiania piękna krajobrazów tego bezkresnego, surowego i tak nieludzkiego kraju. W tundrze, o wiecznie zamrożonej ziemi, w krótkim dwumiesięcznym lecie słońce czyniło cuda. Zdradliwa moczarowa powierzchnia ziemi pokrywała się kobiercem arktycznych kwiatów niskich, drobnych, szybko rozwijających się by wyprodukować nasiona i zachować swój gatunek, zanim zima znów je uśpi na długie miesiące. W lecie jest także obfitość jagód. Czarne jagody, brusznice, żurawina i inne, do których niestety nie ma dostępu wyniszczony skorbutem więzień łagrów. Tu, wzdłuż brzegu połyskują najcudowniejszym seledynem z czarnymi żyłami skały bazaltu. Nad tym wszystkim połyskuje zorza polarna prosto nad naszą głową . . . .

Płynąc na południe przekraczamy północny krąg polarny. Zjawiają się wykrzywione, karłowate drzewa z uschniętymi wierzchołkami. Jeszcze dalej zaczyna się las, a potem puszcza, puszcza aż do samego Kirowa. Oglądałem wspaniałe wysokośnie lasy modrzewiowe. Drzewa równe, proste, olbrzymie. Pod spodem wysoki, miękki mech, najpuszystszy dywan. Lasy iglaste przecho-

dzą w lasy mieszane, mieszane w liściaste. Niezmierne bogactwo leśne. Te bogactwa eksploatują rzesze niewolników, setki i tysięcy więźniów pracujących za łyżkę strawy.

Dopływamy do Koźwy. W grupie więźniów wyładowujących barki spostrzegam mego kolegę szkolnego, ppor. Zygmunta Olechnowicza. On również mnie poznaje. Machamy do siebie rękami. Zwolniony on będzie nieco później i przy inwazji południowych Włoch, jako porucznik saperów będzie pierwszym oficerem odznaczonym Krzyżem V.M. W Koźwie zatrzymaliśmy się w przewiewnym baraku położonym poza obrębem drutów obozu, w którym rzesza naszych rodaków jeszcze czeka na moment zwolnienia. Było zimno. Noc spędziliśmy siedząc i drzemiąc przy otwartym ognisku, rozpalonym na zewnątrz baraku. Gałęzi drzew było już pod dostatkiem, legliśmy już w rejonie lasów. Rozglądając się po towarzyszach niedoli, spojrzałem mimo woli na oberwanego osobnika, siedzącego naprzeciw, sam zresztą lepiej nie wyglądałem, i ze zdumieniem rozpoznałem w nim Leona Gnatowskiego, którego znałem z 77.P.P. stacjonowanego w Lidzie. „Kpt. Gnatowski” zawołałem. „Szs . . .” padła odpowiedź. Przynurzył się do mnie. „Ja tu jestem pod przybranym nazwiskiem”. Takie oświadczenie wcale mnie nie zdziwiło. Z wielu przyczyn wielu ludzi wolało by Rosjanie nie znali ich przeszłości. Zgadaliśmy się. On także był zwolniony z łagrów i tak samo jechał z nadzieją dotarcia do ośrodków formowania Polskiej Armii w Rosji. W Koźwie nasze drogi się rozeszły. Spotkały się później znowu w 5 KDP w Khanagin w Iraku. Od Koźwy otwierała się perspektywa dalszego podróżowania koleją. Tutaj bowiem kończyła się linia kolejowa prowadząca z głębi Rosji. Nie łatwo było, nawet teraz wolnemu człowiekowi, wy dostać się z tego ogromnego obszaru samych tylko łagrów, gdzie jedyną władzę sprawowały oddziały NKWD. Każdy kombinował dostanie się do nielicznych i przepełnionych pociągów na własną rękę, stosując przekupstwo gdzie tylko się dało. Z Koźwy z Wac-

kiem Pupko dotarliśmy pociągami towarowymi do Kotłasu. Odległość prawie 1000 km. Kilka dni usiłowań kupienia biletów kolejowych uwieńczone zostały sukcesem po „posmarowaniu” naczelnika stacji. Noco- waliśmy, czekając na miejsce w pociągu, w niedokończonych budowlach, byle by nie lało na głowę. Pieniądze, które dostaliśmy przy zwolnieniu, szybko topniały. Odetchnęliśmy, kiedy 20 września zostawiliśmy Kotłas i przybyli do odległego 350 km Kirowa, położonego już poza obrębem Zarządu Państwowych Łagrów (Gosudarstwiennoje Uprawlenie Łagierej).

W Kirowie zastaliśmy tłumy zwolnionych z łagrów Polaków i ich rodziny. Wszystko to tłoczyło się z miejsca na miejsce, szukając wyżywienia w miejscowych stołówkach i dachu nad głową na noc. Budynek stacji kolejowej był przepełniony. Ludzie leżeli na podłodze pokotem i wszystkich interesowało tylko jedno najważniejsze pytanie – kiedy powstanie możliwość dalszego jechania dalej. Tymczasem coraz nowi przybysze z łagrów powiększali naszą gromadę. Wreszcie władze sowieckie nakazały sformowanie pociągu złożonego z wagonów towarowych i tym transportem wyruszyliśmy w drogę z przeznaczeniem dotarcia do Buzułuku. Komendantem transportu został por. Urbanowicz, mający do pomocy ppor. lot. Zbigniewa Groszka, ppor. Alfreda Pokultinisa i Mariana Mrówkę. Mieliśmy wiadomość, że przynajmniej jeden podobny transport opuścił Kirow przed nami. Komendantem tamtego transportu miał być kpt. Maj. W naszym transporcie moja bardzo dobra znajomość języka rosyjskiego okazała się bardzo pomocna przy załatwianiu spraw z sowieckimi oficerami transportowymi oraz spraw wyżywienia dla transportu. Nasza trójka: Z. Groszek, M. Mrówka i ja szybko się zaprzyjaźniliśmy i zanim dostaniemy się do wojska niejedno razem przeżyjemy. Trasa transportu wiodła z Kirowa przez Mołotow, Świerdłowski, Czelabińsk, Troitsk do Orska razem 1200 km. Nasz transport nie miał pierwszeństwa, więc wlekleśmy się od stacji do stacji, przepuszczając inne pociągi. Jadąc jednak na prawach

transportu wojskowego, wszak jechaliśmy by się zaciągnąć do Polskiej Armii w Rosji, na większych stacjach, nie więcej niż raz dziennie, otrzymaliśmy gorącą strawę w stołówkach wojskowych. Często jednak wydawano nam tylko prowiant suchy. Zawsze chleb, poza tym, jak kiedy czasami kiełbasę, często śledzie i t. p. Gorąca woda (kapatok) była na każdej stacji. Kłopotem tak licznego transportu z dużym procentem kobiet i dzieci był problem latryn. Pociąg po prostu stawał w polu i płci odmienne wysypywały się z wagonów na dwie różne strony. W terenie pofałdowanym i lesistym jeszcze było pół biedy. Natomiast, kiedy wjechaliśmy w płaskie okolice stepowe, czynności te stały się, szczególnie dla niewiast krępujące. Obydwie strony widziały siebie wzajemnie bez żadnych zasłon. Osie wagonów dawały grubo niedostateczne zakrycie. . . . Kiedyśmy dojechali do Orska, do Buzułuku już nas nie wypuszczono. Rosjanie teraz skierowali nasz transport przez Kazachstan (Kandegach, Czekał, Aralsk, Kzyl Orda) do Taszkientu w Uzbekistanie i dalej przez Samarkandę, Bucharę do Raganu w pobliżu rzeki Amu Daria. Razem od Orska około 1800 km. Od Orska z wyżywieniem było gorzej, nawet całkiem źle. Kto miał coś z zapasowej bielizny czy obuwia wymieniał na żywność. Ratował nas do pewnego stopnia sowiecki system zaopatrzenia w artykuły codziennej potrzeby różnych części swego kraju. Tam np. gdzie był tytoń nie było zapalek. Lampy naftowe wysyłano do jednej prowincji, zapasy nafty do oświetlenia do innej i t. d. W naszych warunkach śledzie odegrały rolę wartościowej waluty. Ludność miejscowa nie widziała śledzi już od dłuższego czasu, a my je mieliśmy. Za ten więc towar dostawialiśmy inne lokalne i tanie produkty.

Duże np. zapotrzebowanie z naszej strony było na świeże jarzyny, owoce, dynie, kawony, które leżały górami na miejscowych targowiskach. Świeżych owoców nie mieliśmy bowiem od czasu opuszczenia Polski, a awitaminoza poczyniła duże szkody w naszych organizmach. Palacze używali jedyny dostępny na rynku tytoń-machorkę.

Wracając do naszego transportu. . . W Kaganie nasz pociąg otoczono żołnierzami i kazano wysiadać z bagażami z wagonów. Doprowadzono nas do brzegu rzeki Amu Daria, gdzie już czekały otwarte barki. Po załadunku się zawieziono nas około 400 km w górę rzeki do miejscowości Nakus. W czasie tej podróży nasza trójka po raz pierwszy w życiu spełniła funkcję grabarzy. Po jednej zimnej nocy zmarł jeden z pasażerów, młody, może 22-letni mężczyzna. Barkę documowano do brzegu, wykopaliśmy dół i tak bez trumny pochowaliśmy jego wyniszczone zwłoki, umieszczając nad grobem jedynie tabliczkę z jego nazwiskiem. W Nukusie rozproszono nas w grupach po około 40 osób po różnych kołchozach. Wytłumaczenie ze strony władz sowieckich brzmiało, że polskie obozy wojskowe nie mogły obecnie w tym tempie wchłonąć napływających ochotników. Po kilku tygodniach pracy przy zbieraniu bawełny i pogłębianiu kanałów nawadniających (arików) cofnięto nas z rejonu Nukusa, znowu transportem rzeczonym (barkami) do miejscowości Turtkul. Samotnych mężczyzn zakwaterowano w dużym baraku, pustym magazynie zbożowym. Rodziny z dziećmi stłoczone były w niezamieszkałych domach. Dostarczane nam wyżywienie było niedostateczne. Wygodniali Polacy wytapali po ulicach psy i piekli ich mięso na ogniskach przed barakiem, w celu zaspokojenia głodu. Byli desperaci, którzy potrafili kraść barany od okolicznych Uzbeków. Spowodowało to szereg zająć z władzami miejscowego NKWD. Nasza zgrana w tej długiej wędrówce trójka: Zbyszek Groszek, Marian Mrówka i ja, rozwiązaliśmy nasz problem w sposób następujący. Zbyszek, zawodowy oficer lotnictwa w czasie pobytu w łagrach pomagał swemu przyjacielowi lekarzowi jako sanitariusz w izbie chorych. Pod jego kierunkiem zapoznał się z objawami chorób i lekarstwami, którymi te choroby zwalczano, przeważnie ograniczona ilość gatunków pigułek. Tak samo z tym doktorem dokonywał sekcji zwłok. Tutaj w Turtkulu znalazł zatrudnienie w miejscowym szpitalu w charakterze doktora (wracza) Marian objął stanowisko

głównego kucharza w stołówce instytucji szkolnych, Mnie z tytułu mego technicznego wykształcenia dostało się stanowisko kierownika laboratorium elektro-radiowego w placówce kształcącej radioamatorów w ich wolnym od pracy czasie. Pracy zbyt wiele nie miałem. Większość chętnych radioamatorów była powołana do wojska, więc placówka była prawie nieczynna. Miałem dosyć czasu by zapoznać się ze sprzętem, uporządkować go i przygotować do wykładów. Plusami mojej posady były: niezła płaca, upoważnienie do stołowania się w stołówce, gdzie mój przyjaciel był kucharzem oraz zdobycie pary prezentowych butów z cholewami. Buty te pozwolono mi kupić w specjalnym składzie i za specjalnym zezwoleniem naczelnika miejscowego NKWD. Jak wielu mnie podobnych byłem ubrany w resztki mojego polskiego ubrania. Nie miałem bielizny. Buty były powiązane sznurkiem, trzymając w ten sposób cholewki z podeszwą razem. Zdobycie więc butów, całych, nowych butów było nieocenionym nabytkiem. Stosunek personelu placówki do mnie był bardzo zycziwy, a nawet serdeczny. Jedna z nauczycielek, żona sędziego sowieckiego, obdarowała mnie zmianą bielizny, a inni dostarczyli trochę urządzeń kuchennych do naszego mieszkania. Trójka nasza zamieszkała w wolnej lepiance niedaleko od brzegu Amu Darii. Lepianka miała skromne ale wystarczające dla nas w tych warunkach umeblowanie. Trzy drewniane prycze z siennikami, prymitywny stół i kulawę krzesło. Zdobyliśmy, trochę nielegalnie tak zwany „rukomojnik”, naczynie z wodą do mycia się i to . . . wszystko. Takie mieszkanie było szczytem luksusu w porównaniu z resztą naszych rodaków, spijających w dużym baraku na rozścielonej na podłodze słomie.

Pierwszym z nas, który się „urwał” do Polskiego Wojska był Zbyszek Groszek. Małym stateczkiem dostał się on rzeką do najbliższej stacji kolejowej w Czardżou i stamtąd koleją dotarł do O. Org. A. w Guzarze. Pamiętając o przyjaciółach w końcu lutego 1942 roku, już w mundurze polskiego żoł-

nierza (battledresie) przyleciał do Turtkula. Przywiózł on pismo ze Sztabu O. Org. A. powołujące mnie do wojska. Na podstawie tego pisma miejscowe władze NKWD zezwoliły mi na opuszczenie Turtkula i użyć na własny koszt transportu lotniczego z lotniska w pobliżu Turtkula do Czardżou. Dalej już koleją dojechałem do Guzaru. Przed wyruszeniem w podróż poddałem się obowiązkowemu odwszeniu i dostałem odpowiednie zaświadczenie. Formalności związane z opuszczeniem Turtkula zajęły mi około 10 dni. W tym czasie Zbyszek po załatwieniu spraw w związku ze zwolnieniem do wojska jeszcze paru osób, zdążył już wrócić do Guzaru i następnie wyjechać do W. Brytanii do lotnictwa. (Zobaczę się z nim dopiero w roku 1945 po zakończonej wojnie w Londynie). Został mi jednak adres pewnego oficera piechoty w Guzarze, w którego ziemiance, zaraz po przybyciu znalazłem nocleg. Następnego dnia załatwiałem formalności zameldowania się na Stacji Zbornej O. Org. A. Szczesliwym trafem oficer na Stacji Zbornej ppor. Kolenda znał mnie osobiście jako podporucznika rezerwy jeszcze z Wilna, więc z miejsca uzyskałem pierwszego świadka, który uprosił procedurę zweryfikowania mego stopnia oficerskiego. Doczasu przydziału do jednej z jednostek O. Org. A. Stacja Zborna przydzieliła mi tymczasową kwatere. Następnego dnia zostałem wezwany do Sztabu O. Org. A., gdzie złożyłem sprawozdanie z całego okresu mego uwięzienia w Rosji. Ważne były szczegóły spotkań z innymi oficerami, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach one nastąpiły. Przydział mój do Zapasowego Batalionu Łączności O. Org. A. został zatwierdzony dnia 16 marca 1942 roku. W tym też dniu meldowałem się u d-cy Z. B. Ł. majora R. Banaszaka.

W Batalionie nareszcie zrzuciłem dobrze wysłużone łachmany i ubrałem się w nowy angielski mundur — battledress. Mój przydział w Batalionie — d-ca plutonu kompanii dowodzonej przez ppor. Józefa Trybalskiego. Zakwaterowanie dostałem w namiotach oficerskich w rejonie zakwaterowania Batalio-



nu. Podróż z łagrów sowieckich do momentu wcielenia do Polskiego Wojska zajęła mi 6 miesięcy (od 13 września 1941 do 14 marca 1942 roku).

Jako załączniki do sprawozdania dołączono odbitki następujących dokumentów:

ПУБЛИЦИ Проверка правильности отрисовки уложенной вещи сумки АМОН	БИЛЕТ	ф. 15			
	III & КЛ ПЕЧОРСКОЕ ПАРОХОДСТВО				
	УСТЬ-ОРЕНБУРГ От пр.				
	До пр. Усть-Усса Каюта № Место № А № 010140				
53.30	14.60	14.30	14.20	51.05	Р. К.
63	1201—1250	4 СУГ.	1151—1200	4 СУГ.	Р. К.
64	1101—1150	4 СУГ.	1101—1150	4 СУГ.	Р. К.
61	Расстояние		Срок года		Поезд

ПОЛНЫЙ IV  
ДЕТСКИЙ  
БИЛЕТ  
для проезда в ЖЕСТКОМ вагоне  
от ст. до ст. ж. д. через  
Тариф 1940 года  
Страж. сбор вклоч.

№ 255534  
AP

Bilet na przejazd statkiem z Uśc Workuta do Uśc Ussa. Cena 35 rubli 50 kop. 13.IX.41

Bilet Kolejowy z Kotlas do Buzuluk, 29.IX.41

Bilet na przelot z Turtkul do Szardou. 4.III.42

СССР—АЭРОФЛОТ  
Управление ГВФ

ПАССАЖИРСКИЙ БИЛЕТ № А 181270 ★

ОТ АЭРОПОРТА ТУРТКУЛЬ  
ДО АЭРОПОРТА ЧАРДЖОУ

ПУНКТЫ ПЕРЕСАДКИ

ЦЕНА РУБ. 250 коп. 250

Фамилия, имя и отчество пассажира: Макушевские  
РЕЙС № ДЕНЬ И ЧАС ОТПРАВЛЕНИЯ

Примечание

4 " Март 1942 г. (дата выдачи)  
Подпись лица, выдавшего билет: К. Савицкий

ОСТАЕТСЯ НА РУКАХ У ПАССАЖИРА

## II. W Polskim Wojsku w Rosji i w Iraku. Zaciąg do „Cichociemnych“.

Rok 1942. Mała miészina Guzar w Uzbekistanie, siedziba oddziałów O. Org. A. w Rosji. Dowódca Ośrodka płk. dypl. Leon Wacław Koc. Sztab ze służbami zajmuje kompleks budynków przy głównej ulicy, mniej więcej w centrum miasteczka. Ta ulica biegnie prawie równolegle do rzeki odległej o około 500 metrów. Po lewej stronie ulicy, w kierunku odległej o kilka kilometrów stacji kolejowej, znajdują się: kasyno, a raczej stołówka oficerska, urzędy Stacji Zbornej, szpital i łaźnia. Nieco od miasta, w tymże kierunku, nad brzegiem rzeki w ziemiankach kwateruje pułk piechoty. Po tej samej stronie, w odwrotnym kierunku od budynku Sztabu, przejściowy obóz, w którym pod namiotami gnieźdzą się nowo przybyli szeregowi, kandydaci do wojska. Jeszcze dalej, na tak zwanej „Górcie”, namioty ochotniczej służby kobiet. Po drugiej stronie ulicy, prawie naprzeciw Sztabu, zabudowania taborów. Komendantem taborów (kilka koni i wozów) jest dr. wet. kpt. Bazyli Martysz, dobrze znany wśród braci oficerskiej „Bazio”. Naprzeciw kasyna i szpitala namioty obozu w którym mieszkają siostry szpitalne, oraz zatrudnione (funkcyjne) w Sztabie ochotniczki. Obok, dalej, parterowy budynek z dużą salą, służącą jako świetlica dla żołnierzy garnizonu. Batalion Łączności jest zakwaterowany w sadku morelowym po drugiej stronie rzeki. Dalej w pewnej odległości od Łączności obóz jeszcze jednego pułku piechoty i oddziału rozpoznawczego. Rodziny wojskowych zamieszkują prymitywne wnętrza wynajętych od Uzbeków lepianek. W Guzarze również jest placówka sowieckiego oficera łącznikowego. Z rosyjskich instytucji użyteczności publicznej, w tym okresie przypominam sobie tylko sklep z książkami przeważnie o treści doktrynerii komunistycznej, sklep win i wódek, oraz uzbecką restaurację, która wkrótce z braku prowiantów ulegnie zamknięciu. Wojsko dzieli się swoimi mizernymi racjami żywnościowymi z

polską ludnością cywilną. Ludność ta ciągle napływa do rejonów formowania się Wojska Polskiego, by po zwolnieniu z obozów pracy czy też tak zwanego „wolnego osiedlenia” znaleźć tam oparcie i nadzieję powrotu do Ojczyzny. Na miejscowym targowisku mogą oni nabyć tylko bardzo ograniczoną ilość produktów. W Guzarze tyfus i czerwonka sięją spustoszenie. Szpital jest przepełniony. Z braku miejsca, chorych układa się szeregami na podłodze, a polscy lekarze i personel szpitalny robią co mogą by przywrócić im zdrowie. Ogółem epidemie te pożerają dziennie od 30 do 40 wycieńczonych niewolą i „wolnością” sowiecką naszych rodaków. Grzebie się ich bez trumien na miejscowym cmentarzu.

Taki był obraz Guzaru, kiedy po długiej wędrówce z łagrów dotarłem tu 14 marca 1942 roku, by dnia 16 marca zostać wcielonym w szeregi Zapasowego Batalionu Łączności. W drugiej połowie marca d-ca Batalionu mjr. Roman Banaszak odjechał do D-twa Armii w Jangi Jul. Zastąpił go kpt. Jan Bułyha. Dnia 23 marca, w ramach pierwszej ewakuacji oddziałów Polskiego Wojska do Iranu, wyjechała większość oddziałów z Guzaru w tym gros Zap. Bat. Łączn. z dowódcą kpt. Bułyhą. W Guzarze pozostali: kpt. Joachim Juraczek-Ściborski, dotychczasowy kwatermistrz Batalionu, obecnie d-ca łącz. O. Org. A., por. Franciszek Poland-Nowacki, oficer materiałowy, por. Edward Białkowski i ppor. Antoni Korpusik, którzy za parę dni dostaną urlopy i wyjadą po swoje rodziny do Kazachstanu, por. Stanisław Sławiński i ppor. Emil Kozorowski, obydwa w szpitalach, oraz Alfred Pokultinis na którego barki spadną obowiązki dowodzenia, pozostała w Guzarze kompania łączności. Z podoficerów pozostali st. sierż. Koc. szef kompanii, st. sierż. Serafiński, st. sierż. Sławiński, który po powrocie dnia 26 marca ze szpitala przejmuje obowiązki szefa kompanii, sierż. Holewa, sierż. Kaczmarek, plut. Biedka i kapr. Jabłoński. Rejon zakwaterowania oddziału łączności pozostaje w sadku morelowym z rzeką. W sadzie tym stary meczet, budynek o trzech ścianach bez ścia-

ny wschodniej wykorzystany jest jako pomieszczenie dla kancelarii, magazynu mundurowego, dwóch sal wykładowych, ambulatorium lekarza, fryzjerna, parku sprzętowego oraz częściowo, jako kwatery oficerskie. Rejon ten posiada własną kuchnię, dezynfektor, pralnię oraz uprawny ogród. Ostatni dostarcza świeżych jarzyn do kuchni żołnierskiej. Pod względem zakwaterowania rejon ten uchodził za jeden z najzdrowszych w Guzarze. Przykrą stroną tego obozu była niesamowita ilość, zresztą nieszkodliwych, małych jaszczurek oraz plaga skorpionów i pajaków-Tarantul. Kto nie chciał narazić się na przykre konsekwencje ukłuć przez któregoś z tych stworów, musiał dobrze przetrząsać swoją bieliznę przed ubraniem się i dokładnie przejrzeć pościel przed udaniem się na spoczynek. Zresztą, i to nie zawsze pomagało...

Po początkowym przygnębieniu życie w pozostałym w Guzarze oddziale zaczęło się normować. Dnia 7 kwietnia powrócił ze szpitala ppor. Kozorowski i objął pluton rekrucki (szkolny). Pod koniec kwietnia powrócili z urlopów przywożąc swoje rodziny, por. Białkowski i ppor. Korpusik. Dnia 1 maja 1942 ppor. Pokultinis wyjechał do 1 Pułku Łączności w m. Wielikaja Aleksiejewskaja na 6-cio tygodniowy kurs dla oficerów łączności. Powrócił w drugiej połowie czerwca. Dnia 15 maja por. Sławiński powrócił ze szpitala 6 Dyw. Piech. z tym, że za parę dni wyjedzie ponownie na operację ślepej kiszki. Pozostały w Guzarze oddział łączności, za przyczyną kpt. Ściborskiego, przechodził cały szereg zmian reorganizacyjnych. W końcu czerwca 1942 roku kompania łączności z por. Białkowskim i ppor. Korpusikiem stała się częścią Zapasowego Pułku Specjalistów i została przeniesiona do rejonu zakwaterowania tego pułku. Jednocześnie został utworzony Samodzielny Sztabowy Pluton Łączności do obsługi Stabu z d-cą ppor. Pokultinidem i oficerem radio i szyfrowym ppor. Kozorowskim. Pluton ten pozostał w starym miejscu zakwaterowania w sadku morelowym. O. Org. A. posiadał własną radiostację (Aparat sowiecki typu

R. B., nadający się do pracy na szczeblu batalionu piechoty). Dzięki przedsiębiorczości d-cy radiostacji ppor. Rettingera Władysława i radiotelegrafistów, zapewniła ona łączność radiową O. Org. A. z dtwem Armii w Jangi Jul przy odległości około 250 km. Dnia 15 czerwca por. Sławiński powrócił ze szpitala i po odejściu w końcu lipca kpt. Ściborskiego do 1 Pułku Łączności objął obowiązki Dowódcy Łączności O. Org. A. Dnia 19 czerwca w O. Org. A. przebywał biskup połowy Gawlina, wizytując po kolei poszczególne oddziały. Dnia 1 lipca z bardzo niezdrowego podgarnizonu w Kirkin-Batasz do rejonu zakwaterowania obecnie Sam. Szt. Plutonu Łączności została przeniesiona Szkoła Junaczek. W sprawie zdobycia sprzętu kuchennego dla tej Szkoły, ppor. Pokultinis został wydelegowany do Bazy w Krasnowodzku, gdzie d-cą był płk. dypl. Zygmunt Berling. W związku z tą delegacją miałem osobiste, niezbyt przyjemne przeżycie z dobrym jedynak kończeniem. Z-ca D-cy O. Org. A. ppłk. dypl. Roman Szymański i Szef Sztabu O. Org. A. ppłk. dypl. Morozewicz, obarczyli mnie dodatkową funkcją doręczenia płk. Berlingowi osobistych listów, oraz listów do dyskretnego „przemycenia” z Krasnowodzka do Iranu. Po przybyciu pociągiem do Krasnowodzka (przeszło 1000 km od Guzaru) i zameldowaniu się w D-twie Bazy, płk. Berlinga tam nie zastałem. Był on tego dnia w D-twie sowieckim w odległym od Krasnowodzka o około 600 km Aszchebadzie. W najlepszej wierze, powierzone mi listy zostawiłem u Szefa Sztabu Bazy mjr. Downarowicza, który mnie przyjmował. Tutaj mała dygresja: czynną służbę wojskową odbyłem w latach 1930/31 w kompanii łączności Szkoły Pchor. Piechoty w Zambrowie. Po ukończeniu Szkoły w stopniu plut. pchor. rez. dostałem przydział do plutonu łączności 6 p.p. Legonów (Mariawici) w Wilnie. Obydwaj ppłk. Berling i mjr. Downarowicz byli oficerami tego pułku. Na manewrach 1 Dyw. Piech. Leg. pełniąc funkcję oficera łączności naszego pułku, zapewniałem łączność ppłk. Berlin-

gowi. Obecnie więc bazując na mojej znajomości obydwóch oficerów zdawało mi się zupełnie racjonalne zostawienie listów do płk. Berlinga u jego zaufanego Szefa Sztabu. Czekając na powrót płk. Berlinga nocleg zapewnili mi koledzy lotnicy w swoich namiotach nad brzegiem Morza Kaspijskiego. Była to grupa lotników oczekująca na wyjazd do Iranu i następnie do W. Bryt. Niektórych z nich znałem osobiście. W nocy mieliśmy huragan i namiot nasz zerwało ścinając płachty namiotu równo z powierzchnią ziemi, w której te płachty były zakotwiczone i zakopane. Na drugi dzień, po nie wyspanej nocy, meldowałem się u płk. Berlinga, który właśnie powrócił z Aszchabadu. Płk. Berling widać mnie poznał, gdyż powitał mnie słowami: „A, szóstak”. Pomyślnie załatwiłem sprawy gospodarcze i przed odmeldowaniem się zapytałem płk. Berlinga, czy będzie odpowiedź na listy. „Jakie listy?” padło zapytanie. Obecny mjr. Downarowicz zaczął się tłumaczyć, że listy gdzieś się zawieruszyły... że on jeszcze raz przejrzy biurko... listów nie było. W rezultacie płk. Berling przekazał tylko ustnie pozdrowienia dla moich wodzów, i czym prędzej ulotniłem się z powrotem do Guzaru. W Sztabie O. Org. A. po zameldowaniu się i wyniku mojej misji ppłk. Morozewiczowi, otrzymałem od niego solidnego „OPR” za przygodę z listami. Sprawa wyjaśniła się dopiero w czasie naszego wyjazdu 16 sierpnia w tak zwanej drugiej ewakuacji do Persji. Płk. Berling był już podejrzany o współpracę z Rosjanami o linii niezgodnej z linią praktykowaną przez D-two Polskiej Armii i był pod nadzorem polskiego Drugiego Oddziału. Lojalny naszej sprawie mjr. Downarowicz, wydaje mi się, że załatwił prośby naszych pułkowników, po ich myśli. Wiem, że ppłk. Morozewicz cofnął swoje OPR i przyznał mi już w Iraku, że musiałem urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą.

W dniach 24 i 25 lipca Ośrodek Organizacyjny Armii w Guzarze wizytował gen. dyw. Władysław Anders. Odwiedził on również w asyście płk. Koca i płk. Morozewicza Szkołę Junaczek. Jako Komendant Rejonu zakwaterowania Sam. Plut. Sztab Łączności

i Szkoły Junaczek miałem przywilej powitania gen. Andersa złożenia Mu raportu i towarzyszenia w inspekcji. Oddziały do przeglądu były ustawione w kolejności: Szkoła Junaczek, Sztabowy Pluton Łączności w tym Oddział Telefonistek. Generał wolno przechodząc przed szeregami patrzył każdemu w oczy. Przy spotkaniu się spojrzenia nawiązywała się łączność duchowa z generałem, wiara w Niego, wiara, że wyprowadzi nas z tego domu niewoli i doprowadzi do zwycięstwa. D-ca Łączności O. Org. A. por. S. Sławiński leżał w tym, tak pamiętnym dla nas dniu w swoim namiocie zwalony ciężką gorączką. Biednemu Stasiowi pobyt w Rosji wybitnie nie służył. W czasie swego pobytu w Guzarze gen. Anders zapowiedział, że w najbliższych dniach nastąpi następna ewakuacja oddziałów Polskiego Wojska do Iranu. Część jednak O. Org. A. z płk. Kocem miała pozostać w Guzarze by umożliwić następnym przybyłym z dalekich łągów dołączenie do Polskiej Armii. Między innymi i ja miałem zostać by formować następny oddział łączności. Do trzeciej ewakuacji jednak nie doszło z braku pomocy i zgody ze strony Rosjan.

Dnia 11 sierpnia Sam. Sztab. Pluton Łączności razem ze Szkołą Junaczek wyjechał przeladowanym pociągiem z Guzaru do Krasnowodzka. Zapasowa Komp. Łącz. wyjechała 12 sierpnia wraz z Zapasowym Pułkiem Specjalistów. Dla łączności ostatniego rzutu ewakuacyjnego oraz Komisji Likwidacyjnej z D-twem Armii, pozostał do ostatniego rzutu ppor. Kozorowski z radiostacją i radiotelegrafistami. Podróż do Krasnowodzka trwała dwie i pół doby w bardzo ścieśnionych warunkach. Nie każdy mógł siedzieć, nie było mowy o leżeniu. Drzemało się na zmianę ustępując miejsca dzieciom i kobietom. Z Krasnowodzka część garnizonu O. Org. A. odplynęła dnia 15 sierpnia statkiem towarowym do Pahlewi w Persji (Iran). Większość zaś statkiem pasażerskim „Tankar-Kaganowicz” odplynęła dnia 16 sierpnia. Przeszło 5000 ludzi ściśnięto na wszystkich pokładach statku, prawie wszyscy w pozycji stojącej.



Do portu w Pahlewi statek zawinął 19 sierpnia rano. Z radością powitaliśmy inny świat.

W Pahlewi wojsko i ludność cywilną skierowano do dwóch oddzielnych obozów. Obóz dla wojska, nad brzegiem morza Kaspijskiego, składał się z trzech rejonów: dwóch „brudnych” i jednego „czystego”. Do rejonu „czystego” przenoszono oddziały po dezynfekcji. W Pahlewi na mocy rozkazu D-cy O. Org. A. nastąpiło zlanie się Sam. Sztab. Plutonu Łączności z Zapasową Komp. Łączności, praktycznie wprowadzone w życie nieco później na nowym miejscu w Iraku.

Dnia 24 sierpnia żołnierze łączności odjechali transportem samochodowym z Pahlewi w Persji do Khanagin w Iraku. Podróż trwała cztery dni z noclegami w namiotach obozów przejsiowych w Razwinie, Hemedanie, i Kermenshahu. Opuściliśmy Pahlewi w nowiutkich samochodach ciężarowych marki „Dodge”, prowadzonych przez arabskich kierowców. Droga wspiniała się serpentykami przez piękne, zielone, zadrzewione wzgórza. Po drodze od miejscowej ludności mogliśmy za grosze kupować całe kosze wonnych, dojrzałych brzoskwiń i winogron. Na krótkich postojach odświeżaliśmy się pijąc mocną zieloną herbatę z miniaturowych filiżanek bez uszka. Po przybyciu do Razwina na pierwszy nocleg byliśmy zdumieni widząc jeszcze sowieckie mundury. W tym okresie wojny wpływy sowieckie sięgały aż do tego miejsca.

Podróż z m. Rażwin przez Hemedan i Kermenshah do Khanagin odbyliśmy już przez rejon bardzo wysokich, nagich gór, pozbawionych wszelkiej roślinności. Perscy kierowcy prowadzili samochody z dużą szybkością i niesamowitą brawurą. Włosy stawały nam dęba na głowie kiedy oni brali zakręty na tej wąskiej drodze, raz wspinającej się w górę, raz opadającej na dół i wijącej się serpentykami po stokach tych gór. Droga ta, często prowadząca nad krajem przepaści z widniejącymi gdzieś szczątkami samochodów w dole. Odetchnęliśmy nareszcie gdy zaczęliśmy zjeżdżać

łagodnymi stokami do m. Khanagin. Pierwszych parę dni oddziały spędziły w obozie przejściowym w Khanagin. W międzyczasie po drugiej stronie rzeki w głównym obozie wyznaczono miejsce dla O. Org. A. i ustawiono namioty. W tym nowym obozie nastąpiło faktyczne zlanie się Zap. Komp. Łącz. z Sam. Sztab. Plut. Łączn. D-cą całości został por. Sławiński. Miejscowość Khanagin była miejscem koncentracji wszystkich oddziałów obecnie przybyłych z Rosji. A więc była tu 5. Dyw. Piech., 6 Dyw. Piech., 7. Dyw. Piech., O. Org. A. i kilka innych jednostek. Na pustynnych piaskach Iraku wyrosło miasto namiotów, chroniących naszych żołnierzy od piaskowych burz i ulewnych deszczów nawiedzających w tym czasie ten teren. Po tych deszczach, ze zdawałoby się nieurodzajnych piasków, wystrzeliła do góry zielen chwastów, wśród których rośli się duże, przeszło półmetrowe jaszczury oraz stare znajome skorpiony i tarantule. Łatwiej było dojrzeć w namiocie jaszczura, trudniejsza była sprawa ze skorpionami, oba nas bardzo chętnie odwiedzały . . . W związku z reorganizacją następowały zmiany w oddziałach. Po odejściu z kompanii łączności O. Org. A. por. Białkowskiego na dwuletni urlop, oraz por. Sławińskiego i ppor. Kozorowskiego na kurs oficerski w Quizyl Ribat, zostało tylko dwóch oficerów w oddziale: ppor. Korpusik i ppor. Pokultinis. Kompania łączności ciągle wchodziła w skład Pułku Specjalistów, którego dowódcą był ppłk. dypl. K. Rzyński. D-ca Pułku dla „poprawienia” naszej kondycji fizycznej, często urządził dla oficerów swego pułku ćwiczenia aplikacyjne, wyprowadzając nas na długie piesze wędrówki po pofałdowanym terenie pustyni. Jednego dnia, po powrocie z jednych takich ćwiczeń, zaprosił mnie na dodatkowy spacer, zaznaczając, że ma mi coś bardzo poufnego do powiedzenia. Zobowiązując mnie do utrzymania treści naszej rozmowy w kompletnej tajemnicy, zapoznał mnie z akcją wysyłania oficerów i podoficerów specjalistów do okupowanej przez Niemców Polski do pracy w AK. W krótkich zarysach wyjaśnił drogę jaką ich,

po odpowiednim przeszkoleniu w W. Bryt., przerzuca się do Kraju i nie krył wcale niebezpieczeństw związanych z pracą w tamtych warunkach. Na zakończenie dodał że wytypował mnie jako odpowiedniego kandydata do tej akcji i zaproponował zgłoszenie się do niej. Zgłoszenie mogło być tylko dobrowolne i ochotnicze, odpowiedź miałem jemu dać w ciągu najbliższych kilku dni. Niedługo się namyślałem i już następnego dnia zgłosiłem ppłk. Rzyńskiemu swoją zgodę. Od tej rozmowy upłynęło parę dobrych miesięcy. W nawale pracy w codziennych obowiązkach zdążyłem o niej zapomnieć. W październiku gen. W. Anders dokonał przeglądu wszystkich oddziałów garnizonu Khanagin. W defiladzie przed generałem Pułk Specjalistów i oddziały O. Org. A. prowadził ppłk. K. Rzyński, któremu towarzyszyłem, będąc wyznaczonym przez niego na funkcję adiutanta. Wkrótce potem, w ramach reorganizacji, w początkach listopada 1942 roku, płk. dypl. M. Zaleski zwołał na odprawę wszystkich d-ców łącz. większych jednostek. Na odprawie w Khanagin byli obecni: ppłk. J. Rożański, ppłk. M. Zimmer, mjr. S. Łysak, mjr. H. Niedziałkowski, mjr. R. Banaszak, kpt. X (zdaje mi się, że reprezentował 7 Dyw. Piech.) oraz ppor. A. Pokultinis z O. Zap. A. (Ośrodek Organizacji Armii został przemianowany na Ośrodek Zapasowy Armii). Na tej odprawie mój dawny, jeszcze z Guzaru w Rosji, d-ca mjr. R. Banaszak spowodował mój przydział do 5. Batalionu Łączności 5. Dyw. Piech. Miałem początkowy przydział jako p. o-dca plutonu łącz. 3 Bryg. Strzelców (7.XI. 42). Przy opuszczeniu O. Zap. A. odmeldowałem się u d-cy płk. dypl. Koca Leona Waclawa. Przyjemnie mi było usłyszeć, że moja praca zarówno w komp. łączn. w O. Org. A. w Guzarze w Rosji jak i w oddziale łącz. O. Zap. A. w Iraku znalazła jego uznanie. Powiedział mi bowiem przy pożegnaniu, że wysłał wniosek na mój awans do stopnia porucznika. Dnia 7 grudnia 1942 roku zostałem odkomende-

rowany z 5 B. Łącz. do C.W.A. na dwutygodniowy kurs dla oficerów łączności w m. Khanagin. Kurs pomyślnie ukończyłem i w trakcie składania egzaminów dnia 2 stycznia otrzymałem kablogram D-cy O. Zap. A. do Komendanta C.W.A. na mocy którego miałem natychmiast się meldować w O. Zap. A. (stacja lot/mar) ze wszystkimi dokumentami osobistymi, z kompletnym wyposażeniem i bagażem osobistym. Podstawa rozkaz L. dz. 1654/tj/42 z dnia 27.XII.42. Stało się. Zaakceptowano mnie jako kandydata na „Cichociemnego”. Opuszczam mój oddział, kolegów, znajomych, przyjaciół i jadę w nieznaną. Spakowałem swoje manatki, pożegnałem się z kolegami z kursu, i z kolegami z 5. B. Łącz. Spostrzegłem u nich odznaki zazdrości. Wszak jadę do „lotnictwa” broni, która już się wstawiła swoją działanością i wyczynami w W. Bryt. Gdyby oni wiedzieli prawdę? Swoje odejście z oddziału meldowałem mjr. R. Banaszakowi w szpitalu w Khanagin, w którym on w tym czasie przebywał. Pożegnanie było burzliwe. Mój d-ca zarzucił mi brak lojalności, że to jego nigdy nie powiadomiłem o moim zamiarze przeniesienia się do „lotnictwa” etc. Jakże mogłem, związany przyrzeczeniem utrzymania tajemnicy, powiedzieć jemu całą prawdę. Przełknąłem obelgi życzyłem jemu szybkiego powrotu do zdrowia i jeszcze szybciej wycofałem się na zewnątrz.

Na drugi dzień meldowałem się na Stacji Zbornej Lot/Mar, by dołączyć do grupy liczącej dziesięć podobnych sobie osób „lotników” i „marynarzy”. Od tego momentu otworzyła się nowa karta w moim życiu żołnierskim.

Uwaga: Historia Zap. B. Łącz. w Rosji została szczegółowo ujęta w książce kronikarza tego Batalionu, kpt. dr. Emila Kozorowskiego, pt. „Kronika Zapasowego Batalionu Łączności”, wydanej drukiem w Kanadzie

## NA UZUPEŁNIENIE

*Wspomnienie napisane w maju 1976 r. na podstawie zachowanych notatek z podróży odbytej w 1942 roku w polskiej grupie 150 oficerów i podchorążych transportem morskim dookoła Afryki w czerwcu i lipcu na uzupełnienie Armii Polskiej gen. W. Andersa.*  
Autor.

### I. Przygotowania do transportu i ...odpływamy

Najstarszy stopniem w transporcie oficerów i podchorążych łączności wyznaczonych na to uzupełnienie był mjr. Eugeniusz Łysak. Majorem był awansowany w 1931 roku, jak sam niedawno oświadczył, to znaczy wtedy kiedy ja jeszcze tkwiłem w Szkole Podchorążych Inżynierii (na Wydziale Łączności) w Warszawie. Toteż w 1942 roku należał do Seniorów Łączności. Przed drugą wojną światową nie spotkałem i nie znałem płk. E. Łysaka. Dopiero w Szkocji w 1940 roku ktoś z kolegów zwrócił moją uwagę na to, że w sąsiednim namiocie mieszka major Wojsk Łączności E. Łysak. Mieszkał z oficerami sztabowymi, więc kontaktu z nami (młodszymi oficerami) nie było. Dopiero na wiosnę 1942 roku zbliżył nas przydział do Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie. Przed odjazdem w ciągu kilku miesięcy wyznaczeni oficerowie odbywali kursy i staże w różnych jednostkach Wojska Polskiego w Szkocji, jak np. w C.W.Panc. (m. Cupar/Angus), w Lotnictwie (m. Dunino — Lotnictwo Towarzystwo Polskie), w Brygadzie Spadochronowej i in. W grupie naszej byli oficerowie sztabowi: pułkownicy i majorowie, oraz kapitanowie. Poprzednio w 1941 roku w Szkocji odbyłem z kilkoma oficerami

mi łączności (m. in. kpt. Bronisław Front, kpt. inż. Adam Gac, kpt. Feliks Dzikielewski, kpt. Hegner) pierwszy półroczny kurs dla oficerów sztabowych tzw. „Rembertów”, głównie majorów i kapitanów różnych broni. Tematem kursu były działania samodzielnego batalionu piechoty i samodzielnej brygady piechoty, przewożonej środkami motorowymi. Studium obejmowało różne fazy walki z organizacją zaopatrzenia włącz-  
nie.

Na stażu w Brygadzie Spadochronowej w Szkocji podczas jednego ćwiczenia aplikacyjnego, w którym brało również udział kilku naszych oficerów dyplomowanych, miałem wyznaczone miejsce obok majora Łysaka. Tematem zadania było ładowanie batalionu spadochronowego. Rozwiązałem je, trafiając niechcący w tzw. „szymel”, wybierając właściwe lądowiska na mapie dla poszczególnych kompanii, zrzuconego batalionu. W rozwiązaniu moje lądowiska wyznaczyłem możliwie blisko siebie i tam gdzie na mapie najbardziej rozchodziły się warstwy, gdzie stok wzgórz schodził łagodnie w równinę, z dala od rzeki i jeziora. Moje rozwiązanie uznane za trafne zwróciło uwagę majora Łysaka. I odtąd w wolnych chwilach miałem z nim więcej styczności i rozmów, gdyż skłaniał się przyjemnie w moją stronę.

Na początku 1942 roku po zgrupowaniu nas najpierw w Dundee, a potem w St. Andrews, po dawkach różnych zapobiegawczych zastrzyków (przeciw tyfusowi, ospie, tężcowi i in.) mieliśmy więcej wolnego czasu, gdyż często chodziliśmy z podwyższoną temperaturą. Prowadziliśmy niektóre wykłady w

ówczesnej Szkole Podchorążych Łączności i często uprawialiśmy sporty, oczekując dalszych decyzji i przeznaczenia... Początkowo mieliśmy jechać do Armii Polskiej w Rosji północną drogą ówczesnych transportów przez Archangielsk. Toteż przydzielony ekwipunek zawierał między innymi haczyki i inne przybory do łowienia ryb, fufajki, grube rękawice, swetry z grubej włóczki, ciężkie czapy i buty filcowe, i ogromne rewolwery. Wkrótce jednak na skutek zmiany decyzji i przejścia Armii Polskiej gen. W. Andersa na Środkowy Wschód, kazano nam zdać to wyposażenie do magazynów i wypłacono nam szkockie funty na zakup wyposażenia tropikalnego (szorty, koszule, pończochy, hełmy tropikalne ochronnego koloru i in.). Teraz drogi nasze z majorem Łysakiem rozchodziły się, gdyż przydzielono mnie do grupy technicznej płk. dypl. S. Skowrońskiego. Do pomocy moich przyszłych zadań przydzielono przyjemnego w sposobie bycia i prawego Rodaka por. Lucjana Milanowskiego, byłego urzędnika placówki dyplomatycznej. W tej grupie technicznej byli oficerowie-specjaliści, znający sprzęt broni pancernej, artylerii, przeciwlotniczy, saperski, znawcy przyrządów optycznych — w sumie było nas 12 oficerów. Otrzymałem do przyszłej pracy kilka tablic sumarycznego wyposażenia w sprzęt łączności (dywizja, brygada, batalion) co wskazywało na to, że miałem wziąć udział w organizowaniu zaopatrzenia naszych oddziałów w sprzęt łączności. Sprzęt angielski poznałem w Szkocji pełniąc obowiązki dowódcy Ośrodka Łączności Sztabu I. Korpusu od jesieni 1940 do wiosny 1942 roku (z przerwą na półroczny kurs „Rembertów”). Planowano teraz przerzucenie całej grupy technicznej na Śr. Wschód do zgrupowania gen. dyw. Zajęcia w Palestynie samolotem stratosferycznym nad okupowaną Francją. W czasie wojny plany szybko zmieniają się, toteż przyspieszono transport morski na Śr. Wschód oficerów i podchorążych na uzupełnienie Armii Polskiej gen. W. Andersa i wkrótce naszą grupę techniczną dołączono do tego głównego transportu morskiego. Ta decyzja dla kilku z nas była

wielkim rozczarowaniem. Komendantem całego transportu został płk. dypl. S. Skowroński, a grupy Wojsk Łączności, około 15 oficerów i podchorążych — major E. Łysak.

Pogotowie marszowe zarządzono już 11 czerwca 1942 roku, ograniczając nam poruszanie się do pobliża naszych kwatery w St. Andrews. Bagaż oznaczono kodem transportu morskiego. W dniu 15 czerwca kazano nam spać bez rozbiierania się i zakazano opuszczenia kwatery. Nikt z nas nie wiedział czym odbędziemy podróż i jaki jest punkt docelowy naszej wyprawy, natomiast podkreślono obowiązek zachowania ścisłej tajemnicy służbowej, dotyczącej naszego przyszłego ruchu. Alarmową pobudkę zarządzono bardzo wczesnym rankiem 16 czerwca i wkrótce rozdano nam prowiant. Jechaliśmy samochodami zosą przez Sterling do Greenock pod Glasgow. Po załadunku nas na prom płynęliśmy w kierunku statków. We mgle poranka zęgały nas starsze płaczące kobiety-Szkotki, portowe pracownice i powiewały chustkami. Mijaliśmy różne statki. Wśród nich na kotwicy stał nasz stary znajomy „Batory”. Może? ... ale ku zdziwieniu całej naszej grupy prom nasz minął go i teraz we mgle poranka wyłoniły się kontury niebieskawego olbrzyma, ówczesnie największego transportowca wojsk „Queen Elizabeth“ (chyba o wyporności 80-kilka tysięcy ton). W przydzielonej, normalnie dwuosobowej kabinie, było nas na spiętrzonych łózkach dwunastu kapitanów. Major Łysak dzielił kabinę z oficerami sztabowymi.

W dniu 17 czerwca o godz. 23 odczuliśmy lekkie kołysanie, co wskazywało, że wypływamy niespostrzeżenie z redy. Wkrótce po opuszczeniu portu zwracano nam uwagę na ścisłe przestrzeganie przepisów o zachowaniu tajemnicy i nie komentowanie tego transportu morskiego i zapoznanie się z instrukcjami po angielsku i po polsku o konieczności zachowania ścisłej tajemnicy, a dla winnych o grożących konsekwencjach. Winnych przekroczenia przepisów czekało wysadzenie na ląd w Afryce na najbliższym



postoji i pozostawienie samych sobie. Moje notatki robiłem skrycie w małym notesie skrótami telegraficznymi i dzięki temu po tylu latach teraz mogę podać prawie dokładnie daty i spozstrzeżenia z tej miesięcznej podróży. Z oficerów później przydzielonych do 11 Batalionu Łączności 2. Korpusu w grupie naszej znajdowali się na statku: mjr. E. Łysak, kpt. Bronisław Machowski, kpt. W. Iżycki, por. inż. Jan Morawski, por. Władysław Ratomski, por. Stanisław Biały. Inni oficerowie Wojsk Łączności płynący w transporcie to kpt. E. Kozakiewicz, por. Stanisław Gierat, por. L. Milanowski, por. Władysław Połoński, por. Stanisław Kaczmarczyk, ppor. Kazimierz Majkowski, plut pchor. Piotr Świątkowski (wg mojej pamięci).

Zanim podam w skrócie zdarzenia i spozstrzeżenia z datami z notesu, muszę zaznaczyć, że Komendantem całego transportu był brygadier bryt.. W transporcie płynęła jedna dywizja wojsk brytyjskich i około 2000 oficerów z polską grupą 150 oficerów i podchorążych.

## II. Przebieg podróży.

18. czerwiec — eskorta krążownika — próbny alarm, ubrani w białe pływaki, otrzymaliśmy przydział do łodzi ratunkowych. Zbiórka na pokładzie — strzały do samolotów nieprzyjacielskich — kompletny „Black out” wieczorem, wszystkie luki zamknięte. Eskorta 5 kontrtorpedowców — prawdziwy alarm nocny — spozstrzeżono przelatujące w chmurach bombowce niemieckie (Focke-Wulf). Spać każą w ubraniach.

19. czerwiec — mijamy konwój podobno 38 statków brytyjskich. Co za niespodzianka, dają nam pomarańcze i jabłka po obiedzie — jedzenie doskonałe. Brak eskorty dzisiaj — zaniepokojenie — spanie w ubraniach — statek porusza się zygzakami. Rozmowa z mjr. Łysakiem o przyszłych możliwościach Wojsk Łączności.

20. czerwiec — alarm przeciwlotniczy — pełne obsługi przy działach i karabinach

maszynowych. W sumie na wszystkich pokładach znajduje się około 150 dział i karabinów maszynowych — niektóre sprężone karabiny maszynowe mają po 25 luf. Krążące ptaki zdradzają poblizbę ładu. Znaczący obliczają, że to może być zatoka Biskajska, lub brzegi północno-wschodnie Hiszpanii. Coraz cieplej.

21. czerwiec — niedzielne nabożeństwo w salonie „lounge’u”, nasze po polsku odprawia mjr. Bielski. Nakładamy po raz pierwszy szorty. Coraz goręcej — pozwalają spać rozzebranych. W czasie całej podróży uprawiano różne sporty i gry pokładowe. Gimnastykę poranną prowadzi kpt. E. Kozakiewicz dla chętnych „pasażerów”. Miała ona duże powodzenie nie tylko wśród Rodaków, ale również wśród Brytyjczyków, co było wynikiem fachowego i przyjemnego podejścia instruktora.

22. czerwiec — młodszy wiekiem oficerowie polscy i podchorążowie, by dać odpoczynek brytyjskim obsłudgom dział i broni maszynowej, zgłaszają się na ochotnika do ich obsługi. Płynię z nami wielu naszych artylerzystów którzy mogą objąć dowodzenie przy działach. Po krótkim zaznajomieniu się z działkiem (amerykański Oerlikon 25 mm) zgłaszam się do obsługi działka, którego dowódcą jest mój kolega z Oficerskiej Szkoły Inżynierii, kpt. dypl. Olgierd Jaskold-Gabszewicz. Teraz służy w artylerii przeciwlotniczej. Powierza mi funkcję amunicyjnego więc by być w pogotowiu otwieram puszkę z taśmami pocisków i jedną taśmę wprowadzam do zamku działka. Dyżury są dwugodzinne dla wszystkich obsługi dział i karabinów maszynowych. W czasie jednej służby nad ranem przyszedł do nas mjr. Łysak, by zobaczyć co robimy.

23. czerwiec — rozdają racje „emergency” i pudełka metalowe z maścią przeciw moskitom, którą należy używać wcierając w twarz i ręce. Wpływamy w rejony moskitów malarycznych i należy wieczorem opuścić rękawy koszul i wkładać długie spodnie. Polska gazeta okrętowa ogłasza, że wolno nam napisać jeden list prywatny

do Wielkiej Brytanii (bez komentarzy o transporcie lub o spozstrzeżeniach w czasie podróży). Listy będą sprawdzane. Widzimy latające ryby wzdłuż statku.

24. czerwiec — hydroplany na zmianę patrolują wody wokoło, okrążając stale nasz statek. Wieczorem wymiana sygnałów świetlnych hydroplanów z naszym statkiem. Wieje silny i gorący wiatr. Podają szybkość statku 24 do 28 węzłów. Zużycie paliwa: metr sześcienny na minutę. Można zwiedzać maszynownię statku więc schodzimy do niej po schodach w dół.

25. czerwiec — kontrtorpedowiec konwojuje nasz statek. Po południu drobny deszcz i obraz kolorowego ładu. Dobijamy do portu Freetown w Sierra Leone. Głośniki ogłaszają, że ppłk. angielski będzie wysadzony tutaj na ład jako ukarany za przekroczenie dyscypliny o tajemnicy służbowej. Wieczorem koncert. Wesoły, kulejący porucznik marynarki angielskiej (już inwalida drugiej wojny światowej) prowadzi nasz chór, który śpiewa pieśni polskie i szkockie. Najlepiej wypada: „Sto lat, sto lat, niech żyje nam!”. Ogólne brawa. Ppłk. saperów J. Sochocki, wykonawca utworów Chopina na fortepianie, zwraca powszechną uwagę doskonałą grą i odczuciem mistrza. Salon wypełniony setkami mężczyzn i kobiet w mundurach, którzy biją entuzjastyczne brawa po każdym granym utworze. Niektórzy Anglicy, myślą, że do transportu włączono umyślnie polską grupę rozrywki, by dać im w czasie podróży zaśluzoną rozrywkę.

26. czerwiec — koniec „blackout’u”. Teraz otwarto luki i... jest przyjemny przewiew na korytarzach i w kabinach. Wolno spać zupełnie bez jakiegokolwiek ubrania, okrywając jedynie okolice wątroby. Nagle wlatuje małe moskitko. Wszyscy myślą, że to już malaria jest z nami i ręczniki nasze idą w ruch. Wszyscy piorą biednego moskita. Ogólny śmiech. Upał — parno. Ruszamy późną nocą dalej.

27. czerwiec — dzień Władysława. Wieczorem przy bufecie szklanka whisky kosztuje szylinga. Anglicy grają w brydża z Polakami.

Zabawa trwa do godz. 21.30. Przed udaniem się na spoczynek, zbieramy się na górnym pokładzie, śpiewamy polskie pieśni i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Na szafirowym niebie tysiące gwiazd. Pierwszy raz widzę Krzyż Południa i odwróconą Wielką Niedźwiedź. Szukamy Gwiazdy Polarnej, która leży teraz wyraźnie za rufą statku. Płyniemy więc wyraźnie na południe. W nocy mam służbę przy Oerlikonie, od drugiej do czwartej.

28. czerwiec — niedzielne nabożeństwo jak poprzednio. Przekraczamy równik. Żołnierze brytyjscy wrzucają swoich oficerów do basenu z wodą. Zabawa trwa do późnego popołudnia. Usiedliśmy z mjr. Łysakiem w cieniu, rozmawiamy o tym, kto będzie przyszłym dowódcą łączności naszej Armii na Śr. Wschodzie i jakie mogą być organizowane wielkie jednostki. Sugerujemy obsadę dowódczą.

29. czerwiec — przesuwamy zegary o 40 minut do przodu. Coraz goręcej. Pocimy się i strugi potu spływają po naszych koszulach, pozostawiając białe plamy.

30. czerwiec — zbierają nasze listy do wysyłki. Stado delfinów towarzyszy nam wzdłuż naszej drogi. Teraz jest nieco chłodniej.

1. lipiec — w czasie nocnej służby przy Oerlikonie w naszym sektorze obserwacji wyłoniły się z wody dwie czarne bryty. Obudziłem wszystkich i sąsiednie załogi też obserwowały. Okazało się, że to jakieś duże ryby, może rekiny. Wyłaniały się kilkakrotnie. Robi się dużo chłodniej.

2. lipiec — możemy zejść na dół do magazynów i wyjąć z ciężkiego bagażu potrzebne rzeczy. Sprawdzam swój bagaż i wyciągam mundur.

3. lipiec — ptaki w poblizżu statku. Wyłaniają się czerwone kontury wzgórz Południowej Afryki. Postój. Godzina 11.30 to Przylądek Dobrej Nadziei. Zatrzymujemy się w Simons-town. Podchodzą statki-cysterny z paliwem. Chłodno. Tutaj jest teraz zima — wkładamy mundury. Wieczorem dancing na górnym pokładzie. Cały statek oświetlony. Po śnia-

daniu wychodzę na górny pokład. Uderza mnie przyjemna świeżość powietrza. Obserwujemy brzeg przez lornetki. Widoczne są foki wylegające się na brzegach. W porcie widzimy przeładowanie jeńców z Afryka Korps Rommla. Żołnierze brytyjscy rzucają im papierosy. Dumni Niemcy papierosów nie podnoszą.

### III. W poł drogi i . . . dalej.

**4. lipiec** – Postój. Są okazje zejścia na ląd. Po południu z dwoma innymi oficerami płynę do brzegu łodzią motorową, skąd dwie angielskie panie zabierają nas swoim pięknym otwartym samochodem na przejazdkę wzdłuż brzegu w stronę Capetown. Inni oficerowie i kilku podchorążych w małych grupach też płyną do lądu i wsiadają w różne prywatne samochody. Teraz naprawdę przydaje się znakomicie znajomość angielskiego. Jedziemy promenadą do willowej dzielnicy. Zatrzymujemy się przed parterowym domem z ocienioną werandą. Inne samochody dowożą kilka angielskich oficerów na herbatę, którą na obrusach w kwiaty podaje nam kolorowa służba. Na sztywnych obrusach (w kwiatkach) stoją też pełne tace różnych owoców południowych. Są widoczne wokoło piękne wille i korty tenisowe. Kołyszą się ruszone wiatrem kwitnące krzewy i kwiaty. Życie tutaj jest piękne. Proszę byśmy śmiało mówili swoim angielskim. Gospodarze interesują się bardzo bombardowaniem i zniszczeniami Anglii i Londynu. Dziękujemy za przyjęcie i po dwu godzinach wracamy na statek, odwiedzieni wspólnie małym autobusem. Wieczorem znowu dancing. Gdzie tu wojna? – pytam sam siebie. Wygląda, że to my tylko wójujemy – ale to pozory.

**5. lipiec** – odjazd z Simonstown. Rano spotkanie konwoju kilkunastu statków angielskich z olbrzymem „Queen Mary“ na czele. Powiewamy beretami. Głośniki ogłaszają by nie obciążać jednej burty, aby nie spowodować przechylenia statku. Przecież na nim płynię jedna dywizja brytyjskiego wojska (15 tysięcy ludzi) i 2 tysiące w mundu-

rach oficerskich kobiet i mężczyzn. Po południu próbne strzelanie z kilku dział i k-emów.

**6. lipiec** – zdajemy służbę przy działach obsługi brytyjskim.

**7 i 8 lipiec** – coraz goręcej. Płyniemy między Madagaskarem i Wschodnim brzegiem Afryki. Wieczorem koncert polsko-brytyjski. Duszno.

**9. i 10 lipiec** – wracają upały i wszyscy się pocą. Duszno. Ocean Indyjski. Na stołach w jadalni tabletki z solą. Niektórzy trochę przybledli. Jeden z naszych oficerów poważniej oparzył sobie kolana, siedząc w szortach na pokładzie. Ostrzegają nas przed porażeniami słonecznymi. Nie wolno się opalać.

**11. lipiec** – wieczorem znowu koncert. Bardzo udany. Ppłk. Sochocki gra utwory Chopina na fortepianie. Chór ochotniczy polsko-angielski pod batutą por. Bajorka śpiewa pieśni polskie i angielskie. Długie, kilkakrotne brawa.

**12, 13, 14 lipiec** – statek zwalnia szybkość. Okropny upał. Zbliżamy się do cieśniny Adenu. Mijają nas statki, z prawej strony ląd.

**15. lipiec** – upał szaleje. Wpłynęliśmy na Morze Czerwone. Nasze koszule tropikalne są zlane potem ze śladami soli. Nakazują łykanie tabletek soli. Na dodatek statek stale zwalnia i prawie zatrzymuje się. Coraz goręcej. Żar jak z pieca bije od iskrzących się wzgórz. Z lądu wchodzą na statek kobiety w stroju siostr szpitalnych. W szpitalu okrętowym są chorzy, którzy będą pierwsi wyładowani. W czasie całej podróży widziałem kilka pogrzebów przy burtach statku, gdzie po odczytaniu modlitwy przez kapłana spod flagi brytyjskiej, opuszczano trumnę do wody.

Z obawy chorób infekcyjnych (tropikalnych) ruch na korytarzach, gdzie odbywał się pogrzeb był zakazany.

**16 i 17 lipiec** – posuwamy się wolno Morzem Czerwonym. Mija nas amerykański transportowiec z flagą. Żar bije z nieba.

**18. lipiec** – Wyładowanie w Południowym

Suezie. Po przybyciu do portu na nasz widok, przechodzący Egipcjanin w czerwonym fezie pokazuje plik egipskich funtów, dodając po polsku: „Hokus pokus, czama giełda! Kupić, nie kupić, potargować można!” Znak, że wjeżdżamy w rejony swoich. Nasz ciężki bagaż będzie dostarczony w późniejszym terminie. Por. Biały wyznaczony przez mjr. Łysaka przywozi następnego dnia gros bagażu z tym, że część jego została stracona, kiedy to w czasie nalotu na Suez statek ruszył i część naszego bagażu spadła z dźwigów do wody. Mówi się o kompensacji strat dla poszkodowanych.

**19 lipiec** – przepławiamy się przez kanał na drugą stronę. Biję żar z nieba. Kilka godzin oczekujemy na transport pociągiem do Al Quantara. Jedziemy całą noc pociągiem do Rehovot. Nikt nie śpi, bo w drugiej klasie tego pociągu w czasie tej podróży – gryzą nas pluskwy, które siedzą w kanapach.

**20. lipiec** – przyjazd do Rehovot, skąd samochodami jedziemy do obozu Gedera. W Rehovot pierwszy raz widzimy w mundurach Polki – „kochane nasze Pestki”. Bardzo nam się podobają. Mają polski czar za którym od dawna tęsknimy.

**21. lipiec** – mjr. Łysak chory z bardzo wysoką gorączką. Lekarz rozpoznaje „papadacz”. Odwożą go do szpitala. Jesteśmy poważniej zmartwieni. Lekarz nas jednak pociesza, że gorączka wkrótce ustanie i mjr. Łysak za dwa, trzy dni będzie między nami z powrotem. Wojsk Łączności.

**22. lipiec** – lekcja higieny na Śr. Wschodzie. Jak się ubierać, co jeść, czego unikać, choroby miejscowe. Prowadzi polski lekarz na wesoło.

**23. lipiec** – mjr. Łysak wrócił ze szpitala, trochę wymizerowany, ale czuje się dobrze. (Chorobę „papadacz” przynosi mała muszka, gdy ugryzie).

**24. lipiec** – rozmawiamy z żołnierzami z czołowych elementów Armii gen. Andersa. Dowiadujemy się o łagrach, o kołchozach, pracy niewolniczej, zsyłkach i nieludzkim traktowaniu Polaków na „nieludzkiej ziemi” Sowietów. Trudno uwierzyć – wyraźna wrogość, czy nienawiść?

**25. lipiec** – kilka kilometrów od nas stoi nasza dzielna Brygada Karpacka, którą niedawno wycofano z Tobruku. Składamy im wizyty. Spotykamy oczywiście łącznościowców: mjr. H. Niedziałkowskiego, kpt. Włodzimierza Bragiela, kpt. Władysława Grota, kpt. Edwarda Komolibusy, por. Szymańskiego i innych. Jesteśmy wśród nich często do zachodu słońca. Bardzo miłe spotkania. Są tutaj na stołach winogrona i inne owoce, papierosy – staropolska gościnność! Znowu trafiliśmy dobrze. Odtąd w wojenkę pójdziemy już RAZEM.

\* \* \*

Wspomnienie swoje poświęcam pamięci wszystkich poległych i zmarłych żołnierzy



### EPIZOD Z WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ.

Krótki, ale bez precedensu, epizod z wojny polsko-bolszewickiej roku 1918–1921, który chcę kolegom opowiedzieć jest autentyczny, gdyż wydarzył się mnie osobiście, a pamięć moja przechowała go dobrze.

Działo się to w okresie gorącego lata 1920 roku, kiedy 2 Armia Polska podejmowała działania w ogólnym kierunku na Kijów. Wojska Łączności składały się z oficerów i szeregowych, którzy tylko w części mieli doświadczenie z I-ej wojny światowej, a reszta to była improwizacja na potrzeby chwili, ale patriotyczna i ofiarna. Wyposażenie techniczne było bardzo różnorodne, wystarczy powiedzieć, że pochodziło ze spadku po trzech zaborach: rosyjskim, niemieckim i austriackim, do czego dochodził sprzęt łączności francuski i japoński, a siedła na konie mieliśmy nawet meksykańskie. Wyposażenie w kabel telefoniczny było raczej skąpe, a łączność na szczeblu operacyjnym utrzymywaliśmy prawie wyłącznie na liniach telefonicznych i telegraficznych stałych oraz przy pomocy plutonów radio-telegraficznych zaopatrzonych w ówczesne stacje iskrowe.

Byłem wówczas przydzielony do 2 kompanii telegraficznej ciężkiej, obsługującej dowództwo 2. Armii. Dowódcą kompanii był por. Wiktor Bernacki, ja zaś byłem dowódcą I. plutonu stacyjnego i zastępcą dowódcy kompanii. Pracy mieliśmy bardzo dużo tak, że oficerowie Wojsk Łączności zaprowiantowani w kasynie dowództwa 2. Armii korzystali z tego przywileju, że mogli spóźnić się na posiłki bez potrzeby meldowania przyczyny opóźnienia u dowódcy Armii lub jego zastępcy, jak to ogólnie obowiązywało.

Stojąc razu pewnego pod słupem telegraficznym, gdzie sprawdzałem na przedpolu przy pomocy patrolu linie w przewidywaniu mających się rozpocząć niedługo działań zaczepnych własnych, usłyszałem nagle w słuchawce niski głos męski mówiący po ro-

syjsku. Pomyślałem sobie, że to może ktoś ryś z kolegów robi mi kawały, ale po chwili namysłu zdałem sobie sprawę, że nikt z kolegów kompanii nie włada biegle językiem rosyjskim a były wypadki, że odstrzelivaliśmy się nieprzyjacielskim patrolom kawalerskim w czasie naszej pracy, przeto, jak mówi wieszcz Adam „zakląłem brzydko w mać z ruska”. Na to postyszałem: „Pan, nie rugajś, dawaj łuczszce pogaworim” (panie, nie wymyślaj, lepiej porozmawiajmy). Powiedziałem wówczas krasnoarmiejcowi: (tak mi się przedstawił): co myślę o nim, o wszystkich Bolszewikach, którzy wdzierają się na nasze odwieczne ziemie... że wbrew kłamstwu, które wbijają im do głowy ich komisarze polityczni, stanowimy naród o ustroju na wskroś demokratycznym, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż na czele naszego rządu stoi małorolny chłop nazwiskiem Witos i ma za sobą cały zjednoczony naród. Na co otrzymałem odpowiedź: „My w pierwszej Polsce zawojujęm a potem mirowej pożar razdujem” (Najpierw Polskę podbijemy, a potem światowy pożar rozniecimy) Odwzajemniłem się mu, że jest głupcem i zęby sobie połamię na naszym kraju, gdzie solidarnie walczą nie tylko panowie, jak on ich nazywa, ale po społu z robotnikami i chłopami w obronie ojczystej ziemi. Na co postyszałem: „Pan nie bojsia, kak zachwatim Arszawu tak waszemu panu Piłsudskiemu try arszyna ziemi na grob obiazatielno wydielim” (Panie, nie martw się, gdy tylko zdobędziemy Warszawę, to waszemu panu Piłsudskiemu trzy metry ziemi na grób bezwarunkowo przydzielimy). Tego już miałem stanowczo dość i powiedziałem: „Jestem na czele kawalerii na twych tyłach i zanim jeszcze słońce zajdzie skórę ci wygarbuję”.

Podziałało. Postyszałem lekki szmer w słuchawce odłączenia się i rozmowa nasza zerwała się.

### OSTATNIE DNI PRZEDWOJENNE W ZEGRZU KOŁO WARSZAWY.

W Zegrzu Północnym rozlokowana była Komenda Centrum Wyszkożenia Łączności, Szkoła Podchorążych Łączności z Batalionem SPL rezerwy oraz m. in. Kompania (Kurs) Tele i Radiomechaników.

Marcowa częściowa mobilizacja 1939 roku co prawda nie dotyczyła Zegrza, gdyż rozkazy mobilizacyjne odnośnie ostatniego rocznika SPL zostały zmienione. Dziś z perspektywy czasu i doświadczeń ostatniej wojny, a przede wszystkim kampanii wrześniowo-październikowej, zmiana rozkazu odnośnie odwołania mobilizacji najstarszego rocznika SPL w mobilizacji marcowej przyniosła niepowetowane straty. Podchorążowie ostatniego rocznika z dniem mobilizowania mieli być mianowani podporucznikami i wcieleni do istniejących formacji – Kompanii Łączności dywizyjnych lub powołani do Szwadronów Łączności brygad kawalerii, jako dowódcy plutonów. Do czasu wybuchu wojny zdobyliby doświadczenie w jednostce bojowej, poznali ludzi, którymi by dowodzili i łączność w W.J. na pewno byłaby z tego skorzystała. Ponadto zlurowaliby obecnych oficerów dowódców plutonów na wyższe stanowiska w organizacji łączności. Nie można tu pominąć faktu, że z braku oficerów, podoficerowie od stopnia plutonowego włącznie (w bardzo wielu przypadkach wybitni podoficerowie) pełnili funkcje dowódców plutonów. Przydzieleni jako podchorążowie, a nie podporucznicy, z mobilizacji sierpniowej czy pierwszych dni września, do istniejących Kompanii Łączności względnie formujących się nowych jednostek łączności, nie z własnej winy, nie mogli wykonać przewidywa-

nych dla nich zadań, do których w Szkole byli przygotowani wysmienicie.

Od 19 sierpnia 1939 r. oddziały łączności W.J. na pograniczu Polski były już w stanie ostrego pogotowia.

Warto wspomnieć, że Składnica Łączności w Przemyślu, już od mobilizacji marcowej uzupełniała i zmieniała sprzęt łączności niezdający do użytku bojowego. Tu po raz pierwszy Szwadron 10 B.K. Zmot. otrzymał trzy radiostacje N1 modelowe oraz trzy radiostacje N2.

W Zegrzu, Kompania (Kursu) Tele-Radiomechaników w ostatnich tygodniach sierpnia 1939 r. położyła czterożyłowy kabel podziemny, jako połączenie rękodowe między Fortem Gordona leżącym na północ od SPL w kierunku Serocka a Fortem nad Narwią tuż obok Yacht Klubu. Kompania została rozwiązana pod koniec sierpnia, absolwenci wyjechali do oddziałów przewidzianych w planie mobilizacji, część miała się zgłosić do pomocy Ministerstwa Poczty i Telegrafów. MP i T miało na wypadek wojny dać techników Wojskom Łączności, stało się odwrotnie, w przeddzień wybuchu wojny MP i T zażądało 50% stanu techników Wojsk Łączności do obsługi urządzeń poczty.

Kabel podziemny, który położyła kompania Tele-Radiotechniczna nie miał zrobionego złącza po przejściu pod drogą główną, wiodącą od Komendy CWŁ do mostu na Bugo-Narwi. Pośpiech mobilizacji pozostawił część pracy nie dokończoną.

Dnia 28 sierpnia zostałem zmobilizowany i zgłosiłem się w nowo tworzącym się oddziale wojennym łączności, Kompanii Łączności

Naczelnego Wodza, która organizowała się w rejonie 1. Batalionu Telegraficznego w Zegrzu Południowym.

Nie dokończoną pracę przy kablu rokadowym między fortami Zegrza Północnego wykończyliśmy z ppor. Andrzejem Barbosiem, tzn. wykonaliśmy złącze na kablu, zalali cyną, zamknęli studzienkę, przedzwonili połączenie na centrali CWŁ i zameldowali wykonanie pracy ówczesnemu kapitanowi Ludwikowi Rolewiczowi, adiutantowi CWŁ, któremu podlegała centrala telefoniczna w Zegrzu Północnym. Była to na pewno ostatnia praca techniczna, jaką wykonano w Zegrzu przed wojną.

Był wczesny ranek pamiętnego 1. września 1939 r., Zegrze Północne pustoszało. Starsi oficerowie wykładowcy CWŁ wyjechali lub wyjeżdżali w pośpiechu mobilizacyjnym do jednostek bojowych jako dowódcy łączności. Wielu z nich nie zdążyło dojechać do przewidzianych dla nich jednostek.

Ranek zegrzyński był mglisty. Nie było widać ani Zegrza Południowego, ani nawet brzegu po drugiej stronie Narwi. Coś niespokojnego czaiło się wokoło, czuł się człowiek jak zawieszony w próżni. Nastroj potęgował jeszcze przypadek, że kilka dni temu podczas ćwiczeń, polski samolot „Łoś” spadł tuż obok mostu na Narwi w Zegrzu Północnym.

Właśnie wracałem do Kompanii Łączności N.W. w Zegrzu Południowym, kiedy po przekroczeniu mostu na Narwi, zauważyłem trzy samoloty, lecące od strony wsi Wieliszew. W rozmowie z innymi przypuszczaliśmy że to polskie samoloty. W tym momencie odezwało się działo przeciwlotnicze strzegące mostu na Narwi, równocześnie świst bomb, które zaskoczeni Niemcy, nie spodziewający się obrony tego mostu w gęstej mgłę, zrzucili bomby w łękę obok mostu po stronie stacji kolejowej Zegrze.

Nie było tu już żadnych wątpliwości – że to nie wojna!

Za parę minut po ataku na most na Narwi, całe skrzydło niemieckich bombardowców pod osłoną myśliwców leciało w kierunku węzła kolejowego Legionowo, które zostało zbombardowane.

Samoloty niemieckie zostały zaatakowane przez polskie myśliwce, wywiązała się walka powietrzna, jeden z polskich samolotów został uszkodzony, pilot jednak nie wyskoczył na spadochronie, lecz skierował samolot na niezabudowany teren, spadł w rejonie m. Płudy-Choszczówka, w pobliżu majątku Łapigrosz.

Była to pierwsza bitwa powietrzna 1 września 1939 roku na trasie Prusy Wschodnie-Warszawa.

Na wysokości stacji kolejowej Zegrze, mieliśmy jakiś batalion piechoty maszerujący w kierunku Łasków Nieporętu, na łęgach Bugo-Narwi naprzeciw Jadwisina.

Już wieczorem tego samego dnia meldowaliśmy się w Sztapie Naczelnego Wodza na ulicy Rakowieckiej w Warszawie.

Od tego momentu drogi tysięcy żołnierzy łączności nie były usłane różami, wiodły przez wiele polskich spalonych osiedli i miast, następnie przez więzienia i obozy internowanych różnych krajów do Polskich Sił Zbrojnych, odradzających się we Francji, Anglii. Dla innych, dla których los był mniej łaskawy, drogi wiodły do obozów jeńców.

Dzisiaj po trzydziestu siedmiu latach, wspomnienia łącznościowców gdziekolwiek się ukazują, są czymś więcej niż tylko wspomnieniami. Pozwalają bowiem ujawniać inaczej nieznane fakty, lub je konfrontować; potwierdzać lub zaprzeczać im. Będą służyć historykom piszącym Historię Łączności, którzy nieraz będą powoływać się na nie, szczególnie gdy one będą jednym źródłem.

**DWUSTRONNOŚĆ,  
TO ZAŁĘTA ŁĄCZNOŚCI –  
UAKTUALNIAMY  
ADRESY ŁĄCZNOŚCIOWCÓW**

Stanisław Sławiński

## KONNA ŁĄCZNOŚĆ

*Zamiast Wstępu. „Przegląd Łączności” chronicznie cierpiał na brak artykułów (relacji, wspomnień) pisanych przez nie-oficerów. Ostatnio jednak otrzymaliśmy bardzo ciekawą relację od st. sierż. Jerzego Wiśniewskiego z Leeds, który był jednym z pierwszych żołnierzy konnej łączności, o tym jak ta konna łączność organizowała się. Jest to równocześnie uzupełnienie artykułu mjr. Stanisława Sławińskiego p.t. „Konna Łączność” w „Przeglądzie Kawalerii i Broni Pancernych” (Nr. 38 kwiecień–czerwiec 1965) i „Uwag dodatkowych do organizacji Szwadronu Łączności Białostockiej (Podlaskiej) Brygady Kawalerii” gen. bryg. L. Kmicic-Skrzyńskiego. W dążeniu do zebrania wszelkich przyczynków do Historii Łączności, oraz dla związania wspomnianej relacji z uprzednio napisanym artykułem, pozwalamy sobie przedrukować (za zgodą Przeglądu Kawalerii i Br. Panc.) artykuł mjr. S. Sławińskiego i uwagi gen. bryg. Kmicic-Skrzyńskiego przed ogłoszeniem relacji st. sierż. J. Wiśniewskiego. (RED).*

**„Konna Łączność (Szwadron Łączności Podlaskiej Brygady Kawalerii)” – kpt. łączn. Stanisław Sławiński.**

Brak na Święcie Kawalerii w Londynie 11 października 1964 r., porporczyka czarno-chabrowego, który nieraz trzepotał na różnych zawodach konnych, a nawet Military – sprowokował mnie do napisania tego artykułu.

Konna Łączność, to najmłodsze dziecię kawalerii, które w tragicznym wrześniu 1939 roku było załedwie w wieku ząbkowania.

Stanowiły ją szwadrony łączności brygad kawalerii.

Nie posiadając dokładnych danych o wszystkich szwadronach łączności, a nie chcąc się narazić na zarzut nieściśłości – ograniczę się do przedstawienia sylwetki jednego szwadronu, który powstał pierwszy, był jakby doświadczalnym, gdyż na wzór niego powstawały kolejno inne szwadrony.

Do tzw. Konnego Plutonu Łączności Białostockiej Brygady Kawalerii w Białymstoku (tylko 3 brygady go posiadały), dołączył pluton radio z radio-stacjami t.zw. R.K.D. (radiostacje korespondencyjne dywizji), z dowódcą i pełną wyszkoloną obsługą, wydzielony z Pułku Radiotelegraficznego w Warszawie. W ten sposób powstał tzw. Oddział Łączności Białostockiej Bryg. Kaw. (W 1937 r. przemianowanej na Podlaską B.K.).

W roku 1935 oddział ten przemianowany został na Szwadron Łączności Białostockiej Bryg. Kaw. Szeregowcy łączności na ułanów, sierżanci na wachmistrzów, a tylko dowódca, kapitan nie został rotmistrzem, gdyż pozostał nadal w korpusie oficerów Wojsk Łączności.

Żołnierzom szwadronu, a więc i oficerom zamieniono patki łączności na kawaleryjskie proporczyki w tych barwach, a więc czarno-chabrowe. Szwadron Łączności był jednostką samodzielną, podległą dowódcy brygady, poprzez dowódcę łączności brygady. Gospodarczo należał do 10 Pułku Ułanów, który był jednocześnie oddziałem ewidencyjnym wszystkich szeregowych szwadronu.

*ciąg dalszy na str. 37.*



## Etat Szwadronu Łączności Podlaskiej Brygady Kawalerii.

Wyszczególnienie	Ofic.	Podofic.	Ułani	Konie	Uwagi
D-ca szwadronu	1			1	
Wachmistrz szef		1		1	
Poczet d-cy					
Pocztowy osobisty			1		
Luzak			1	1	
Kierowca sam.			1		1 sam. osob.
Trębacz			1	1	
Pluton stacyjny					
D-ca, pocztowy osob., luzak	1		2	2	
Z-ca d-cy		1		1	
2 patrole tel. stac.		2	10	12	2 tacz. tel.
1 patrol teleg.		1	5	6	1 tacz. tel.
2 patrole łącz. z lotn. (konne)		2	4	6	
1 patr. łączn. z lotn. (motorowy)		1	2		1 motocykl
2 patrole nasłuchowe		2	4		2 sam. osobowe
Drużyna gońców:					
na sam. osobowych			2		2 sam. osob.
na motocyklach			2		2 mot.
na rowerach			6		6 rowerów
konnych			6	6	
Pluton telefoniczny					
D-ca, poczt. osob., luzak	1		2	2	
Z-ca d-cy		1		1	
6 patroli telef.		6	30	36	6 tacz. tel.
Pluton radio					
D-ca, poczt. osob., luzak	1		2	2	
Z-ca d-cy		1		1	
2 drużyny R.K.D.		2	12	8	
1 drużyna N1		1	3	3	
Drużyna parkowa					
D-ca		1			1 sam. osob.
2 kierowców, 4 obsługa			6		2 sam. cięż.
Drużyna gospodarcza					
D-ca		1		1	
Kuchnia polowa, d-ca		1	6	8	wóz przykuchen. żywnościowy kuchnia
2 kucharzy, 2 jeźdnych,					2 wozy taborowe
2 woźniców					2 wozy taborowe
Podof. furaż., 2 woźnic.		1	2	5	
Podof. amunic., 2 woźnic.		1	2	5	
Podof. sanitarny		1		1	
Podof. weterynaryjny		1		1	
Podkuwacz, kuźnia polowa		1	1	3	1 wóz
Tabor bagażowy, 5 woźniców			5	10	5 wozów tabor.
Razem	4	29	118	124	

- Uwagi
- Etat odtworzony z pamięci, ale na tyle dokładny, że daje obraz jednostki.
  - W rubryce „Podof.” byli st. ułani, a nawet kilku ułanów.
  - Radiostacje R.K.D. i kuchnie miały zaprzęgi 4-ronne (jezdni).
  - Tacz. tel., rst. N1, wozy tab. miały zaprzęgi 2-konne (woźnicy).
  - Uzbrojenie: 18 pistoletów VIS, reszta kbk i bagnety, konni wyposażeni również szable. Wszyscy w łopatki i maski p. gazowe.

ciąg dalszy ze str. 35.

W normalnym życiu koszarowym szwadron dzielił się na dwa plutony: telefoniczny i radio, oraz drużynę gospodarczą, natomiast na manewrach i różnych większych ćwiczeniach, występował jako szwadron trzyplutonowy: pluton stacyjny, pluton budowlany telefoniczny, pluton radio, oraz drużyna dowódcy.

Organizacja tych plutonów nie była stała – zależała od sprzętu, jaki szwadron otrzymywał do wypróbowania, oraz od wymagań taktyczno-operacyjnych. Wystarczy wspomnieć, że w okresie swego krótkiego istnienia, szwadron wyposażony był w trzy różne typy taczanek pod sprzęt telefoniczny o różnych zaprzęgach: cztero, trzy i dwukonne. Pluton radio uzupełniany był różnymi nowymi radiostacjami, a więc: N1, N2, S., co wymagało zwiększenia stanu żołnierzy w plutonie nieraz dwukrotnie i więcej.

Ustaloną ostatecznie organizację o pełnym etacie bojowym, szwadron osiągnął przy mobilizacji przed kampanią wrześniową w 1939 roku.

#### Wyszkolenie.

Wyszkolenie szwadronu łączności nie było rzeczą łatwą. Cały szwadron musiał przejść normalne wyszkolenie kawaleryjskie, a więc jazdy konnej, wołyżerki, władania szablą, wyszkolenia strzeleckiego, bojowego, musztry konnej i pieszej, regulaminów. Niezależnie od tzw. wyszkolenia liniowego, które bardzo przydało się w kampanii wrześniowej, trzeba było również wyszkolić radiotelegrafistów, radiofonistów, telefonistów i sporo innych specjalistów przewidzianych etatem. To ogromne zadanie spoczywało na 2 oficerach (w tym d-ca szwadronu) i 4-ch zawodowych podinstruktora, kilku nadterminowych. (W etacie figuruje 4-ch oficerów, tzn. 2 sł. stałej i 2 zmobilizowanych z rezerwy). Dużym utrudnieniem był notoryczny brak czasu, który potrzebny był także na konserwację różnorodnego sprzętu technicznego, no i na obrządki koni. Koni szwadron miał bardzo dużo w stosunku do ilości ludzi, miał

więcej niż szwadron liniowy w pułku kawalerii. Tłumaczy się to tym, że szwadron łączności miał duży procent koni pociągowych, a więc na jednego jeźdznego wypadało dwa konie.

Zamiast rozvodzić się nad szkoleniem poszczególnych specjalistów – przedstawię pracę dwóch podstawowych elementów działania szwadronu. Istotą działania kawalerii jest ruch, to też charakterystyką konnej łączności jest łączność w ruchu.

Wyobraźmy sobie normalnie maszerującą kolumnę kawalerii stępem i kłusem na przemian. W kolumnie tej porusza się drużyna R.K.D. Na jej czele jedzie konno dowódca i pilnie obserwuje teren, wybierając odpowiednie miejsca na ewentualne rozwinięcie radiostacji (R.K.D. nie była dostosowana do korespondencji w ruchu). Za R.K.D. o zaprzęgu czterokonnym powożone z koni (jezdni) jedzie trzech radiotelegrafistów konno, a czwarty zwykle najlepszy jedzie na R.K.D. z tzw. R.O.D.'em (radiostacja odbiorcza) ze słuchawkami na uszach. Raptem w słuchawkach zabrzącały znaki Morse'a i „rodzista” krzyczy „wołają nas”. D-ca daje rozkaz „R.K.D. za mną galopem marsz”. Czasem R.K.D. robi półwołty i pędzi w przeciwnym kierunku marszu, czasem wypredza kolumnę, a czasem po prostu zjeżdża w bok, zależy to od terenu. Obsługa w galopie zeskakuje z koni. Koniowodny nie zatrzymując się, pędzi dalej, by ukryć się przed lotnikiem. Obsługa odprzodkowie radiostację, a jezdni z przodkiem dołączają do koniowodnego. Najpierw ustawia się maszty teleskopowy z trzema promieniami antenowymi, potem rozwija się siatki miedziane tzw. przeciwwagi, które są uzieniemiem radiostacji, a następnie jeden radiotelegrafista uruchamia aparaturę, drugi zabiera się do kręcenia prądnicy ręcznie, zasilającej nadajnik, a rodzista wciąż słucha. Czsami praktykowało się, że radiostacja wołająca nie czekając na zgłoszenie się radiostacji wołanej nadaje wiadomość w nadziei, że rodzista odbierze. Radiostacja wołana po rozwinięciu się pokwituje odebrany telegram. Ten system załatwiania korespondencji w marszu, mógł

się udawać tylko przy doskonale wyszkolonej i wypoczętej obsłudze. Był on bardzo praktyczny, gdyż znakomicie skracał czas korespondencji, podczas której rosła ilość kilometrów między R.K.D. a maszerującą kolumną, która przecież nie czekała.

Doskonała obsługa R.K.D. to:

1. Odbiór i nadawanie znaków Morse'a, minimum 50 znaków na minutę, (R.K.D. zasadniczo pracuje na klucz-zasięg 80 km. na fonię— 10 km),
2. Szybkie wyraźne pismo,
3. Znajomość aparatury taka, by móc nie tylko na niej pracować, ale i usunąć różne uszkodzenia. (R.K.D. była bogato zaopatrzona w części wymienne i podręczny warsztat).
4. W najwyższym stopniu opanowana musztra stacyjna.
5. Doskonałe wykształcenie jeździeckie i wołyżerskie.

Wartość linii telefonicznej polega nie tylko na tym, by dobrze działała ale i także na tym, by na czas była gotowa. Normalnie linie telefoniczne rozwija się z konia i to w galopie. Przeważnie linie ciągnie się obok drogi, ale zdarza się, że i na przełaj. Pierwszy pędzi d-ca patrolu z połowym aparatem telefonicznym, za nim tzw. zwijakowy, który jedną ręką trzyma wodze, a w drugiej zwijak z bębniem kabla. Następny to rękawicowy, który ma specjalną rękawicę i wodzi ręką w rękawicy po kablu poprawiając go, by rozwijany kabel zbytnio nie naciągał się. Ostatni, konny telefonista, ma zapasowy bęben kabla i w odpowiednim momencie podaje go zwijakowemu, a sam zeskakuje z konia dla dokonania złącza. Zatrzymuje się także d-ca, który włącza się swoim aparatem do linii i czasem otrzymuje z centrali jakieś polecenia. Zwijakowy i rękawicowy po wymianie bębna, nie czekają na d-cę, ale rozwijają linię dalej. Na taczance telefonicznej jedzie obok woźnicy sprzętowy, którego zadaniem jest utrzymanie sprzętu w gotowości użycia, np. przygotowanie następnego bębna kabla do rozwijania; w razie potrzeby pomaga on ostatniemu telefoniście w zrobieniu przejścia nad drogą, rzeczką, kanałem, czy rowem przy pomocy tyczek, albo tzw. podpór naturalnych. Oczywiście, d-ca i ten trzeci telefonista po wykonaniu swoich czyn-

ności, galopują na swoje miejsca w patrolu. Konny telefonista, podobnie jak radiotelegrafista powinien szybko i wyraźnie pisać, doskonale znać sprzęt jakiego używa, być zgranym w zespole patrolu i być bardzo dobrym jeźdźcą i wołyżerem.

Na zakończenie tego rozdziału, podam krótką uwagę o radiostacjach N2, N1 i S. Wspólną cechą tych radiostacji było ich działanie na fonię i łatwość w obsłudze, tak, że każdy telefonista mógł je obsługiwać. Łatwość w obsłudze polegała na tym, że nie wymagały strojenia, ani odbiornika, ani nadajnika — a po prostu nastawiało się nadajnik i odbiornik na dany numer fali, a numer fali fabrycznie nastrojony był na odpowiednią długość fali (częstotliwość), nazywało się to fachowo, że radiostacja była sterowana kwarcem. Radiostacja N1 i N2 były tzw. radiostacjami niższego rzędu, miesciły się w wygodnych karetkach na kołach o oponach samochodowych, o doskonałym dwukonnym zaprzęgu powożonym z kozła. Obsługa (dwóch radiofonistów) zabezpieczona od deszczu i wiatru, miała doskonałe warunki do pracy. Radiostacja N1 przeznaczona była dla dowództwa brygady, dla łączności w dół, tzn. pułkami. Radiostacja N2 przeznaczona była dla pułków, dla łączności międzypułkowej z dowództwem brygady. Radiostacja „S” była odpowiednikiem angielskich „walkie-talkie”, tzn. przenośna, przystosowana do przytroczenia na konia jucznego. Radiostacja ta przeznaczona była dla pododdziałów (szwadrony, baterie, kompanie i t.p.)

#### Szwadron Łączności Podl. Bryg. Kaw. w Kampanii Wrześniowej.

Szwadron miał wielkie szczęście żołnierskie wziąć udział czynny w skutecznym wypadzie rozpoznawczym Podlaskiej Brygady Kawalerii na Prusy Wschodnie. Ta akcja była dla szwadronu dobrze zdanym egzaminem z jego gotowości bojowej. Dalsze działania Podlaskiej Bryg. Kaw., to nieustające walki i forsowne marsze, przeważnie nocami, nie dające wytchnienia ani ludziom ani koniom. W tych warunkach szwadron

już od 10 września dostawał oprócz swych właściwych zadań technicznych, także zadanie liniowe. A oto ciekawsze zadanie bojowe.

Dnia 13-go września szwadron wsparty ogniem baterii 14 DAK' u opóźniał napór czołgów npla w rej. M. Pietraszki, będąc strażą tylną brygady.

Dnia 14-go września w rej. m. Miszuki pow. Łapy, z rozkazu d-twa brygady szwadron wysyła oficerski patrol bojowy w sile plutonu, dla nawiązania kontaktu z 5 Pułkiem Ułanów. Zadanie patrol wykonał.

Dnia 26-go września szwadron wzmocniony taczanką ckm z 9 PSK dostał zadanie zlikwidować bandy dywersyjne w rej. m. Pulmo, nad jeziorem Pulmo.

Dnia 5. października szwadron wzmocniony 40-ma kanonierami z 14 DAK' u zamyka przejście w m. Orle Gniazdo na płd. od m. Krzywda. Czołgi, a następnie piechota npla zostały ostrzelane i wycofały się z tego kierunku (każdy patrol w szwadronie, już po mobilizacji, ponadetatowo wyposażony został w lkmy).

Te dodatkowe zadania bojowe, które szwadron otrzymywał, nie przeszkadzały mu zapewniać d-cy brygady łączności technicznej z oddziałami aż do ostatniej niemal godziny działania Podlaskiej Brygady Kawalerii.

#### Zakończenie.

Artykuł ten może należałoby zakończyć na opisie działań bojowych szwadronu, ale należy wspomnieć jeszcze o jednym ważnym aspekcie, a mianowicie o jego działalności społecznej i kulturalnej.

Wojsko Polskie było nie tylko wytwórnią rzemieślników wojennych, ale także społeczną instytucją, która wychowywała młodzież poborową w patriotyzmie na prawych obywateli, świadomych swoich obowiązków w stosunku do Ojczyzny.

Pomimo obfitego programu szkoleniowego, żołnierze szwadronu znajdowali czas na takie rzeczy jak:

1. łącznościowe szkolenie cywilnych zespołów OPL (Obrona p-lot.)

2. szwadron był inicjatorem i współzałożycielem klubu krótkofalowców. Oficerowie szwadronu przeszkolili kilkadziesiąt młodzieży szkolnej obojga płci ze wszystkich szkół średnich Białegostoku w zakresie radiotechniki potrzebnej do uzyskania licencji na posiadanie własnego nadajnika. Klub miał radiostację nadawczo-odbiorczą, pracującą na licencji jednego z oficerów szwadronu.
3. w szwadronie prosperowało aktywne kółko dramatyczne.
3. szwadron posiadał własny zespół tańców narodowych.
5. posiadał zespół wokalnemuzyczny rewersów, mający wielkie powodzenie.
6. miał wreszcie zespół rewiowy, ze słynnym na całą Brygadę szwadronowym „Chaplinem-akrobatą”. Zespół ten na manewrach objeżdżał wszystkie oddziały Brygady, produkując się pod gołym niebem ku uciesze nie tylko żołnierzy, ale i okolicznej ludności cywilnej. To głównie dla niej urządzone były te imprezy. widowiskowe, zgodnie z wytycznymi d-cy Brygady, gen. Kmicic-Skrzyńskiego, który był krzewicielem idei łączności wojska z ludnością cywilną, wzniesienia w niej zaufania i przywiązania do wojska”.

#### Gen. bryg. L. Kmicic-Skrzyński „Uwagi dodatkowe do organizacji Szwadronu Łączności Białostockiej (Podlaskiej) Brygady Kawalerii”.

O ile dobrze pamiętam, to w pierwszej fazie rozbudowy łączności w kawalerii zostały zorganizowane trzy brygadowe plutony łączności, przy trzech brygadach kawalerii. Jednym z nich był zorganizowany w 1933 roku pluton w Białostockiej B.K. (na Podlaską została przemianowana w 1937 roku).

W mniej więcej rok po zorganizowaniu tego plutonu Marszałek Józef Piłsudski powołał do GISZ'u (Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych) na odprawę tych dowódców wielkich jednostek kawalerii w których były brygadowe plutony łączności. W od-



prawie brali udział także przedstawiciele Departamentów kawalerii i łączności, Sztabu Głównego i paru oficerów GISZ'u. W czasie odprawy, Marszałek wypytywał o wartość brygadowych plutonów łączności, ich użyteczność pracy, oraz o ich braki. Odprawa trwała chyba ze 2 godziny. Dowódcy brygad poruszyli sprawę rozbudowy plutonów do szwadronów, zmotoryzowanie ich i w ogóle dostosowanie do ruchowych działań kawalerii. Była też mowa o wyposażeniu szwadronów w radio.

Szwadron łączności brygady otrzymywał różny sprzęt łączności do wypróbowania i zaopiniowania jego przydatności. Tak np. na jakichś ćwiczeniach specjalnych w rejonie Białegostoku, była wypróbowana taczanka łączności, przeznaczona do budowy linii telefonicznej w marszu, wprost z taczanki. Budowa przy szosie szła bardzo szybko.

Problemem było to, że przeszkadzały w budowie słupy telegraficzne, lub inne przeszkody obok drogi. W rezultacie kable leżały albo w rowie, bądź tuż przy drodze. W pierwszym wypadku kable mógł zamakać, w drugim było niebezpieczeństwo zerwania go przez konie. Innym problemem było to, że na skrzyżowaniu dróg trzeba było podwieszać kable, inaczej byłby zdeptany przez konie. A więc dodatkowa robota, potrzebny dodatkowy sprzęt, na który już nie było miejsca na taczance. Trzeba było uruchomić za taczanką inny wóz z obsługą, która by tę pracę wykonała. Miało nastąpić udoskonalenie tej taczanki, ale później już o niej nie słyszałem".

(Z teki dokumentów i pamiętek historycznych: Fotografia z „Tygodnika Ilustrowanego”, Nr. 38/726, przedstawiająca radiostację RKD w pracy.)

**Relacje st. sierż. Jerzego Wiśniewskiego z dn. 7.1.1975 i 23.1.1976.**

„Chciałbym do tego artykułu dodać kilka słów... służyłem w tym szwadronie lat siedem.

W połowie lipca 1930 roku z 1. Pułku Łączności (Zegrze) z 9 kompanii (konnej)

został wydzielony pluton łączności z przeznaczeniem dla Brygady Kawalerii Białostok w składzie: dowódca – por. R. Relich, 1 st. sierż. zaw., 1 plut. zaw., 2 kaprali zaw., 1 kapral st. czynnej (niżej podpisany), 3 patrole telef. po 4 szer. – 12 szer., 1 patrol stacyjny – 5 szer., 1 patrol płacht do łączności z lotnikiem – 2 szer., 1 patrol sygnalizacji świetlnej – 4 szer., 1 luzak dowódcy – 1 szer. Razem oficerów – 1, podof. – 5, szereg. – 24.

Wyposażenie w sprzęt łączności, które pluton otrzymał z Pułku: 1 łącznica 5-cio połączeniowa, 5 aparatów telefonicznych, 15 km. kabla, 4 zestawy narzędzi, 2 aparaty do sygnalizacji świetlnej, 1 zestaw płacht do łączności z lotnikiem. Uzbrojenie: krótkie karabinki francuskie, szable, 1 para ładownic. Umundurowanie: komplet umundurowania sukienkowego, koc.

Transportem kolejowym bez koni i siodła, pluton wyładował się w rejonie Grodna (stacja kolejowa Mosty) gdzie Brygada była na koncentracji i dokwaterowany został do 1-go Szwadronu Pionierów, tylko pod względem gospodarczym (wieś Komotowo nad Niemnem). Po otrzymaniu koni, częściowo z pułków Brygady, częściowo ze Szwadronu Pionierów i siodła (austriackich) i po przeglądzie przez dowódcę Brygady, pluton zaczął intensywne szkolenie w jeździe konnej i budowie linii telefonicznej z konia.

Po powrocie z manewrów pluton został zakwaterowany w jednym budynku z 1. Szwadronem Pionierów, dzieląc z nim też stajnię. Pluton Łączności nie otrzymywał przydziału rekrutów, uzupełnienia przychodziły z różnych Batalionów Łączności już po roku odbytej służby, ale bez wykształcenia kawaleryjskiego, co stwarzało ogromne trudności. Pierwszy przydział rekrutów zaczął się w roku 1934. Od roku 1931 pluton zaczął otrzymywać więcej sprzętu łączności, otrzymał też 2 motocykle z koczami i przydział 2 motocyklistów.

Pod względem gospodarczym Pluton Łączności razem ze Szwadronem Pionierów należał do 14. Dyonu Artylerii Konnej, pod względem ewidencyjnym do 10. Pułku

Ułanów. Jednak pod względem personalnym tak oficerów, podoficerów i szeregowych zawsze należał do Dowódcy Łączności przy M.S. Wojsk.

W roku 1932 dowództwo Plutonu Łączności objął kpt. W.L. Eugeniusz Trzeciak. W tym też roku Pluton otrzymał nowe polskie karabiny i nowe polskie siodła.

W roku 1933 Pluton został przeniesiony do koszar im. gen. Sowińskiego z przydziałem gospodarczym i ewidencyjnym do 10. Pułku Ułanów, tworząc samodzielną jednostkę.

W roku 1934 było w Plutonie kilku podoficerów zaw. na przeszkoleniu dla Pomorskiej i Wileńskiej Brygady Kawalerii.

W tym też roku z Pułku Radiotelegraficznego z Warszawy został przydzielony Pluton Radio wraz z obsługą, sprzętem i końmi, tworząc z Plutonom Łączności – Oddział Łączności Podlaskiej Brygady Kawalerii, przemianowany później na Szwadron Łączności.

W lutym 1937 r. zostałem przeniesiony do nowo formującego się Szwadronu Łączności Krakowskiej Brygady Kawalerii.

„Jeszcze kilka słów: o Szwadronie Łączności Podlaskiej Brygady Kawalerii z lat organizacji. Wiosną 1932 r. Pluton Łączności (późniejszy Szwadron) Brygady otrzymał przydział kilku szeregowych łączności rezerwy na okres 6 tygodni. Byli to żołnierze już starsi wiekiem, wszyscy po odbytej służbie wojskowej w czasie wojny 1918-1920. Żołnierze ci nadzwyczaj chętnie uczyli się budowy linii telefonicznych pieszo i z konia, nowych regulaminów łączności musztry i regulaminów służby wewnętrznej. Zdaje mi się, że do czasu to jest do 1939 r. więcej rezerwistów do szwadronów łączności nie powoływano. Natomiast co roku przydzielani byli podchorążowie łączności rezerwy. Na przykład dwukrotnie był pchor. rez. Łączności Składkowski (syn gen. Składkowskiego), pchor. rez. łącz. Stodolski. W czasie ostatniej wojny kapitan w 5. Baonie Łączności 5. K.D.P. i wielu innych.

W roku 1931 Pluton otrzymał do wypróbowania aparat podsłuchowy sieci telefonicznych. Działał on na odległość 200-300 m.

od linii telefonicznej. Pewnego dnia patrol mój wybudował linię telefoniczną z konia do pewnej wioski w pobliżu Białegostoku. Stację telefoniczną zainstalowałem w domu jednego gospodarza. Ten chcąc nam zaimponować nowym patefonem zaczął grać płyty. Chcąc rozweselić obsługę centrali telefonicznej w koszarach, położyłem aparat koło patefonu i włączyłem go nie wiedząc, że dowódca Brygady płk. Kmicic-Skrzyński przyjechał wypróbować aparat podsłuchowy i zamiast normalnego nadawania i odbierania telegramów usłyszał muzykę. Skończyło się to dla mnie raportem karnym.

Zimą 1931/32 Pluton Łączności Brygady na ćwiczeniach zimowych dla Kursu Oficerów Łączności przy W.S. Woj. otrzymał pojazd motorowy na gąsienicach wraz z kierowcą (coś w rodzaju „Carriers'a, tylko dłuższy) do wypróbowania. Wmontowane w nim były gotowe do rozwijania bębny kabla, 2 aparaty telefoniczne, zestaw narzędzi, po bokach przygotowane tyczki. Obsługa z naszego Plutonu – 3 szereg. Budowa linii telefonicznej wyglądała w ten sposób: kable rozwijał się automatycznie w czasie biegu pojazdu, a jeden z obsługi odrzucał tyczką kable na bok drogi. Nie było to potrzebne gdy budowało się linię na przełaj, chcąc kable łączyć pojazd musiał się zatrzymać. Po zakończeniu ćwiczeń pojazd zabrano.

W r. 1933 Pluton otrzymał polskie kbbk i nowe siodła.”

**„Szwadron Łączności Krakowskiej Brygady Kawalerii w roku organizacji 1937”**

Do Szwadronu Łączności Krakowskiej Brygady Kawalerii zostałem przeniesiony ze Szwadronu Łączności Podlaskiej Br. Kaw. w lutym 1937 roku.

Po zameldowaniu się w komendzie koszar 8. Pułku Ułanów w Kobierzynie (wioska przy szosie Kraków-Skawina) powiedziano mi, że jeszcze nikogo ze Szwadronu nie ma. W koszarach w Kobierzynie stały dwa szwadrony ułanów 8. Pułku, Zdaje mi się 2-gi i Zapasowy. Z rozkazu komendanta koszar plutonowy podof. mat. 8. Pułku Ułanów

wręczył mi klucze od budynku, w którym miał stać Szwadron Łączności i zaproponował mi obejrzenie budynku i stajni. Kiedy weszliśmy do budynku zdziwiłem się ogromnie. Cały budynek zawalony był sprzętem łączności, kwaterunkowym, siodłami, uprzężą, uzbrojeniem i umundurowaniem, i wszystko nowe! Zdziwiłem się, ponieważ takiego wyposażenia nie spożyżewałem się, pamiętając czasy organizacji Szwadronu Łączności Podlaskiej Br. Kaw., gdzie wszyskiego brakowało, począwszy od kabla, a kończąc na umundurowaniu. Poszliśmy do stajni, wszystkie konie młode, mniej więcej pod maść. Zdziwiłem się jeszcze więcej, pamiętając konie Szwadronu Łączności Podlaskiej Br. Kaw. przydzielane z pułków Brygady, różnej maści, wzrostu i nie najlepsze. Do tej pory końmi opiekowali się ułani 8. Pułku Ułanów. Po kilku dniach zaczęli przybywać ułani przeniesieni z różnych szwadronów łączności i podoficerowie zaw. z różnych oddziałów łączności. Zaczęła się praca. Przybyli też oficerowie: dowódca Szwadronu – kpt. Arszyński, przeniesiony ze Szwadronu Łączności Nowogrodzkiej Brygady Kawalerii (podobno zmarł w niewoli niemieckiej). Szef Szwadronu: st. wachm. Kowalski, przeniesiony z 3. Pułku Ułanów Śląskich. D-ca plut. telef.: ppor. Guz (zmienił nazwisko na Runicki) z 5 Batalionu Telegraficznego w Krakowie i w roku 1938 przeniesiony do Szwadronu Łączności 10. Brygady Kaw. Pancerno-Motorowej. Zastępca d-cy plut. telef. plut. Wilczyński, przeniesiony z 7 Batalionu Telegraficznego w Poznaniu. Nazwisk d-cy plutonu radio i jego zastępcy

nie pamiętam. Poza tym przeniesieni byli podoficerowie zawodowi z różnych oddziałów łączności, których nazwisk nie pamiętam: 1 wachm. z Baonu Łączn. Lwów (przyp. red. 6. Baon Telegraficzny w Jarosławiu?), 1 plut. ze Szwadronu Łączności Podolskiej Brygady Kaw., 1 kapr. z 7 Batalionu Telegraficznego w Poznaniu, 1 kapr. (nazwiskiem Kasprzak) nie pamiętam z jakiego oddziału łączności, 1 kapr. nadt. z 5 Batalionu Telegraficznego w Krakowie, 1 plut. (podkuwacz) z 3. OSK w Dębicy. Podof. wet. w tym czasie nie było. W razie potrzeby był wzywany z 8. Pułku Ułanów.

Po czterech miesiącach pracy Szwadron był gotowy. Wziął udział w tym samym roku w koncentracji Brygady w okolicach m. Zator i w manewrach Brygady w okolicach m. Dobczyce, Myślenice, Kryniewe. Oficerów rez. i pchor. rez. w roku 1937 nie było. Szefowie Szwadronów Łączności byli zawsze z pułków kawalerii, Szwadrony Łączności były zwolnione od wszystkich służb i wart w garnizonach.

Dowódcą Łączności Brygady, o ile się nie mylę, był mjr. W.L. Jan Zgorzeński. W Szwadronie tym służyłem zaledwie 7 miesięcy (luty–październik 1937) i nazwisk pamiętam zaledwie kilka. Miałem funkcję podof. kancelaryjnego.

W październiku tego roku zostałem znów przeniesiony do Szwadronu Łączności 10. Brygady Kawalerii, który dopiero się zaczął organizować.

Posiadam fotografię tego Szwadronu z wiosny 1938 roku.”

Strz. Janusz Fronczek

## FILOZOFIA TELEFONISTY NAD RZĘKĄ SANIO

„W rocznicę zdobycia Bolonii, 21.IV.45 – 21.IV.46” –

Jednodniówka 3 B.S.K.

Wiesz Janusz, że ile razy schodzę na dyżur do łącznicy, w tę na poły ciemną piwnicę – to jakbym schodził do kopalni na szychtę, by odwalić swoje cztery godziny – tylko dawniej po szychcie, toś rwał na świat, ku dzionkowi, ku niebu kochanemu, ku ludziom, dziewczuchom, na ulicę, w białym kołnierzyku z krawatem w kwiatki – a tu? Jak szkopy macają, to byś i na drugą zmianę został w tej norze bez dniówki – i nie ciągnie cię na wierzch. Zawsze tu masz nad głową parę kubików cegły, kamienia i gliny – niby z tej włoskiej „casa”. Wtyczki przekładasz i nie myślisz o tych piekielnych „karlickach”, wyjątych i chichoczących gdzieś nad głową.

Przyznaję rację Hanyśowi. Tu, przy centrali, w takich wypadkach, cały świat i wojna nic człowieka nie obchodzą – nie ma czasu na to – i robota ciekawa. Być czymś ważnym, a jednocześnie niczym . . . czy to nie ciekawe? . . . Dowódca żąda połączenia – inni słuchają rozkazów – wykonują – meldują – wzywają pomocy – zapory ogniowej – wsparcia, posiłków . . . Nie raz na tym cienkim druciku kabla telefonicznego, daleko w przed biegającym, wisi życie ludzkie, powodzenie patrolu – zamiar i manewr dowódcy. Czuje się wtedy człowiek, powtarzając zwroty rytuału telefonicznego i manipulując wtyczkami, jak czarodziej, sprawiający tajemnicze misterium. Nikt z wołających mnie i potrzebujących mego czarodziejstwa, nie wie, kim jestem, jak się nazywam – zobaczyć mnie nie może – przecież wierzy i liczy na mnie, ufny, że moje czynności przy łącznicy nie zawiodą, że połączenie zestawie. Wydaje mi się, że Hanyś

także lubi centralę . . . jak swoją kopalnię przed wojną. Szychta tam, szychta tu . . . Hanyś nigdy nie filozofuje.

Dla mnie jednak zaczyna być nudna monotonia dyżurów przy centrali telefonicznej nad rzeką Senio. Wiadomo – „Obrona”, cóż dziać się może? Raz albo dwa w ciągu dnia lub nocy, patrole – trochę podniecenia i zainteresowania przy zestawianiu połączeń – ale na krótko – już i to stało się ostatnio nieciekawe. Nasz patrol wychodzi, dochodzi, i wraca, a Szwabysy zamiast harcownikami wychodzą naprzeciw, siedzą jak zające zadekowani gdzieś tam w Castel Bolognese.

Dziś w nocy wypada mi dyżur po Hanyśie. Jeśli pójdzie liczniejszy nasz patrol, nie będę się nudził. W takim wypadku będzie ze mną w centrali radiota ze swoją graj szafą – we dwójkę można pogwarzyć, ciekawość przez radio zaspokoić, lub czasem muzyki posłuchać. Inna rzecz, że z tym słuchaniem radia i muzyki, to radioci przesadzają. Prosisz, jak człowieka, kolegę: „Ty, zestaw tam coś wesołego, albo poszukaj muzyczki i wpakuj słuchawki do menażki (tak się robi ze słuchawek głośnik), a ten ci zaraz zaczyna wyliczać: że sieć zestrojona, a to kondensator zablokowany, mogą mnie wołać, nie mogę schodzić z fali i tak dalej. A bodaj ich licho z ich radiem . . . Tyle zawsze przeszkód by posłuchać muzyki i coś z dalekiego świata – i to niby radio ileś tam lampowe, a nawet – jak jeden z radiotów twierdził – lepsze, niż odbiornik cywilny, tylko trzeba przerobić. No, ale ten dzisiaj na dyżurze nastawi na foxa lub jakieś tango . . .

Siedzę już od godziny przy łącznicy i zerkam na radiotę, który grajszafę w kącie usta-



wia i coś tam koło niej majstruje.

— „Czy wyszedł nasz patrol?” — pytam.

Nie zrozumiałem odpowiedzi radioty, bo właśnie w tej chwili moja łącznica zrobiła do mnie oko, mrugnęła jednym z dziesięciu, jak chytra wilczyca, no i nie dziwota, ma ich tyle, to zawsze którymś mruga. Jak zwykle — ktoś kogoś chce usłyszeć, o coś się zapytać, a czasem tak sobie z nudów dzwoni . . . co go tam obchodzi, że rozmyślasz lub chcesz pogawędzić z kolegą — masz być na zawołanie i kwita. Gaś wtyczką błyszczące ślepie, zgłaszaj się, a ta przekora już łypie na ciebie drugim. Poczekaj, nie śpiesz się, zaraz wpakuję ci wtyczkę — zgaśniesz, choć byś wszystkimi dziesięcioma ślepiami naraz błysnęła, ty przekoro — złośnico . . .

Kolejność niby obowiązuje, ale to tak zwykle: — pamiętasz dwie, najwyżej trzy, klapki ważniejsze, jak naprzykład „Ksawery Dwa” — wiadomo placówka najdalej wysunięta. — „Orkan Ksawery” — to Dowódca Baonu, no i „Nikodem” — patrol, za którym ciągną linię. Reszta może poczekać. Rozłączyłem właśnie ostatniego abonenta.

Gdzieś, z zewnątrz, dobiegają odgłosy kanonady. Słychać jazgot Schmeisserów i wyraźne szczekanie naszych lkm'ów. Łącznica nie przerywa moich rozmyślań. Dlaczego nikt nic nie melduje? Mimo kanonady, którą wyraźnie słychać? Może któraś linia przerwana? Patrole telefoniczne, w sile po jednym telefoniście-druciku każdy, weszły przed chwilą na centralę. Ogień, to dla nich sygnał alarmu, że będzie robota. Każdy z nich, uzbójony po zęby w kleszcze, izolację, aparat telefoniczny i zwoje drutu . . . Thompson i kilka granatów za pasem, co jest dowodem, że łączność — to broń, a nie służba, jak dawniej. Wszyscy twierdzą, że strzały, wybuchy i błyski dochodzą z kierunku „Ksawery Dwa”. Już miał patrol ruszyć na linię, gdy odezwał się sygnał pod tabliczką „Ksawery Dwa” — żąda „Orkana”. Podsłuchuję . . . Położyć ogień zaporowy M 4 — przed chwilą Niemcy zaatakowali. Niemcy, wspierani ogniem artylerii i moździerzy nacierają z kierunku północnego i wschodniego. Od tego momentu nie milkły sygnały . . .” Proszę Ksawery”.

Tu „Maria”, „Wiktor” się nie zgłasza? Proszę „Orkan”, „Paweł”, — czy „Nikodem” jest na linii? — „Ksawery Trzy” nie odpowiada, dzwonię jeszcze raz” . . . Czuję, że gdybym miał cztery ręce, i to by nie wystarczyło. „Ksawery Dwa” nie zgłasza się, dzwonię jeszcze raz . . . Nie zgłasza się . . . Stwierdzam głośno, że linia widocznie przerwana — to wystarcza. Natychmiast podnosi się „Pius”, dla wysokiego wzrostu słońcem przez nas nazywany. Od razu widać skutki ognia artylerii i moździerzy nieprzyjaciela. Jedno za drugim rwą się połączenia. Co chwilę rzucam „Adam Jeden”, linia uszkodzona — „Barbara” nie zgłasza się. — Do „Orkana Ksawerego” uszkodzenie na linii . . .”

Cztery linie uszkodzone i cztery schylone postaci zniknęły wśród nocy, by jak najszybciej odnaleźć uszkodzenie. Nastąpiła chwila przerwy w działaniu łącznicy. Teraz kolej na radiotę. Jego „Barbary”, „Olgi”, „Nikodemu” i „Józefy” recytowane do mikrofonu dowodzą, że już ma łączność z dowódcami, do których telefon przestał działać. To mi współpraca! Zawsze się tak uzupełniamy. Jemu przynajmniej nie grozi przerwa na linii, chyba że go razem z grajszafą pocisk wgniecie w ziemię, ale to się rzadko zdarza. Krótka trwała przerwa w działaniu łącznicy. Kolejno zgłosiły się wszystkie patrole — przerwy na liniach zostały usunięte — łącznica zagrała jasnymi oczami lamp sygnałowych . . . Ogień zaporowy i broni maszynowej „Ksawerego Dwa” zmiotł Niemców z przedpola. Za wycofującym się, cała nasza artyleria bezpośrednio wsparcia i moździerze oddały salwę honorową, by zmusić Szwabów do prawidłowego odwrotu, według niemieckiego regulaminu musztry luźnej, który określa, że należy posuwać się skokami, często padać i tak dopiero zając z góry upatrzone stanowisko w Castel Bolognese.

Taka jest praca druczika. — Czy jest monotonna i nudna, lub też urozmaicona i interesująca?... Zależy od nieprzyjaciela.

Jednak nieprzyjaciel nad rzeką Senio tylko w tę jedną noc poważnie o tym pomyślał.

Jan Bieda

## ZEMSTA RADIOTELEGRAFISTY

W rocznicę zdobycia Bolonii 21.IV.45—21.IV.46

(Jednodniówka 3 B.S.K.)

Na punkcie obserwacyjnym Dowódcy Brygady cisza — i nuda. Dwa baony Brygady mają w ciągu nocy przejść przez rzekę Idice i działać dalej na Bolonię. Nieprzyjaciel jest za rzeką — stosunkowo słaby, ale jest. Oddzielają go od nas rzeka i miny. Wszyscy wiemy, że zepchnięcie go nie będzie sprawą minut ani godzin — to potrwa. Odnoszę wrażenie, że Dowódcy w tej chwili ciężą minuty. Potwierdzają moje przypuszczenie jego krótkie, co jakiś czas zadawane pytania: „Łączność jest? Radio do Hareńczyka działa? Nic nie meldują?” Tak, łączność działa, 8 Baon zameldował swoją sytuację i pozostaje na stałym nasłuchu radiowym.

Rzucam trochę sennym okiem wokoło. Myśli błędzą niehamowane wołą. Siedzimy skupieni, przy dużym — mapami, szkicami i meldunkami pokrytym stole. A może w tym półmroku tylko, ten stół, wydaje mi się taki duży? Nad stołem wisi lampa. Spod przymkniętych powiek, jak przez mgłę — czarne brzegi stołu zaczynają się przede mną wydłużać — wydłużać w daleką, perspektywicznie idealną linię szyn kolejowych, czy jakieś alei — i nagle przypomnienie! Tak, ja taką noc już miałem w tej wojnie — nie, nie taką, gorszą! Pamiętam już dobrze . . . Stół — i radiostacja.

Pchnięty wewnętrznym bodźcem, wybieram natychmiast z pokoju. Tuż za domem, między ścianą a stogiem słomy, przepisowo osłonięta od strony nieprzyjaciela, stoi radiostacja. Uchylam płachtę samochodu — tak! Tak samo i tu rzuca się w oczy jasno oświetlona czołowa płyta radiostacji z dużą ilością pokręteł, tarcz, cyfr i zacisków. Przed nią radiotelegrafista, pochylony coś

pisze. Siadam obok. Nie przeszkadzam. Elektryczna lampa rzuca jasny snop światła. Po co ja się tak zdenerwowałem? Przecież wszystko w porządku, jak zawsze. Zawsze? Przymykam oczy, bo lampa tak razi światłem . . . Czy zawsze radiostacje działały? Myśli się skłębają, a potem zaczynają układać się w szeregi, ozywają pamięć . . . Przenoszą na ekran noc wrześniową z Polski. Tak, pamiętam dokładnie . . .

Wśród krwawych łun, ciągnących się szerokim pasem od północy ku zachodowi, zapadał wieczór, jeden z tych pięknych wieczorów, jakie wyczarować może tylko nasza, polska jesień. Płonęła mała miłośnica, Wyszaków, płonęły okoliczne wioski. Obejmując okiem niesamowicie groźny, a zarazem piękny obraz, trzeba było zmusić się do uświadomienia sobie, że tu rozgrywa się straszliwa tragedia, od wieków nieuchronnie nawiedzająca naszą ziemię, a której imię — w o j n a.

Nasza dywizja z brygadą kawalerii, od czterech dni, w krótkich odskokach wgrza się w teren, usiłując opóźnić marsz pancernych sił nieprzyjaciela, idących szerokim zagonem z północy na południowy wschód. Byłem dzisiaj w sztabie i przez uchylone drzwi widziałem naszego Dowódcę-Generała, jak w gronie oficerów z zatroskaną twarzą studiował mapę. Domyśliłem się, co jest powodem troski dowódcy. Już od kilku dni nie mamy łączności z Naczelnym Dowódcztwem, jak również z sąsiednimi wielkimi jednostkami. Cofamy się ciągle. Ostatnią naturalną zaporę (po zniszczeniu mostów przez nasze oddziały opóźniające), jaką stanowiła Bugo-Narew, wróg przebył, po

wykorzystaniu jednego z brodów, co ułatwiła mu długotrwała posucha i niski poziom wody tej jesieni. Groziło nam odciecie i otoczenie. Jedyne możliwe źródło łączności w tej sytuacji to dywizyjna radiostacja RKG/A „Dorota”, rozmieszczona w czernastu skrzyniach, na trzech nieprzystosowanych, ciężarowych samochodach, pochodzących z rekwizycji. Mimo usilnych starań, łączność z Naczelnym Dowództwem nie została dotychczas nawiązana. Cztery długie dni i noce nasłuchujemy zbawczego sygnału. Wszyscy jesteśmy wyczerpani do ostatnich granic ciągłym czuwaniem, oraz zwijaniem i rozwijaniem ciężkiej radiostacji w bardzo trudnych warunkach terenowych, pod grozą niestannych nalotów. Dowództwo Dywizji trzy, a czasem nawet cztery razy na dobę zmienia swoje miejsce postoju. Jest ponad siły rozstawiać tyle razy, w ciągu doby, radiostację o dwudziestoczętery-metrowym maszcie antenowym, rozpakowywać skrzynie i ustawiać aparaturę, biorąc pod uwagę, że obsługę radiostacji w osiemdziesięciu procentach, stanowią rezerwiści, mało zgrani w pracy. Nad tym wszystkim dominuje troska, by ją tak ustawić, żeby nie zdradziła, swoim masztem i antenami, miejsca postoju dowództwa, a z drugiej strony by technicznie spełniła swoje zadanie. Wolni od służby radiotelegrafisci pokładli się w tej chwili pokotem na ziemię, zasypiając natychmiast.

Na pewno długo spać nie będą... Jak co noc, zrobimy znów odskok do tyłu. Zostałem z mechanikiem przy radiostacji. Chyba po raz setny sprawdzam jej działanie, walcząc jednocześnie z ogarniającą mnie sennością.

A ziemia tak kusi — by się tylko położyć na chwilę, nie na długo — zamknąć zmęczone powieki, odocząć, ale twarda rzeczywistość i otoczenie przypominają o obowiązku. Łuny wokoło... niebo i ziemia na północy i zachodzie zdają się stapiać w purpurze.

Ciągły, jednostajny grzmot dział i daleki grzechot karabinów maszynowych, od tyłu dni nie milknący, przywodzi mi na pamięć braci żołnierzy, tam... w pierwszej linii

walczących, bez przerwy, bez wytchnienia, by ciałami swymi, jeśli inaczej nie można, opóźnić marsz opancerzonego wroga i dać ważny czynnik Dowódcy: c z a s, potrzebny do powzięcia decyzji, do zorganizowania nowej linii oporu. My mamy dać Dowódcy drugi, nie mniej ważny czynnik: l a c z n o ś ć. Cena zdobycia tych czynników jest niewspółmierna — oni tam za pierwszy z nich, poza zmęczeniem, płacą obficie krwią i setkami ciał, a ja, przy zdobyciu drugiego, miałbym ulec i poddać się jedynie zmęczeniu?

Twardy przypływ energii każe kurczowo zacisnąć rękę na czarnym kole z białymi cyframi długości fal. Nakazuje szukać sygnału. Wodzę kondensatorem, jak tylko można, dokładnie i powoli. Chciałbym rozsunąć te w milimetrowych odstępach białe na czarnym kreski — długości fal, oddalić je od siebie, rozbić na tysiączne milimetra, by tym dokładniej wyłowić z chaosu tyle naraz, obok siebie nadających stacji, tę jedyną — szukaną. Jej sygnał. Oby tylko nie przeoczyć. Czasami już prawie jestem pewny, że to ten sygnał... Już chcę wołać co sił... z radości, że przecież nareszcie... ale ołówek jest nieomylny — wprawdzie kreśli podobieństwo znaków, lecz jest tam zawsze jakaś litera, jakaś cyfra — inna, nie ta szukana... Znowu rozczarowanie i tym więcej wzrastająca zawziętość — szukać, szukać dalej, nie zniechęcać się, cierpliwie wytrwać. W głowie szum, niestanny jazgot... Membrany słuchawek wystukują wściekłym, ostrym rytmem długie, nie kończące się ilości znaków morsa. Niektóre z nich są głośne, o ostrym wysokim tonie. Gdzieś blisko musi być ich źródło. Może to nasze oddziały pracują? Znowu ołówek zdradza tajemnice — to wraz radiostacje, nadają otwartym tekstem, pracują zawzięcie, nie milkną ani na chwilę. Ogarnia mnie zapał bojowy. Jak to, to oni tu, w obcych dla nich terenach, mają mieć łączność, a ja na własnej ziemi mam jej nie nawiązać? Wsłuchuję się... Chciałbym duszą zlać się w jedność z moją radiostacją... Sygnały... sygnały — jest ich tak dużo, coraz więcej, tak bardzo trzeba uważać na każdy z nich, na każdy z osobna w ich dłu-

gim, nużącym szeregu. Byle nie ominąć, nie przeoczyć tego, szukanego tak długo. W oczach występują coraz częściej, zamiast czarnych z białymi kreskami i cyframi tarcz długości fal i białych, jasno oświetlonych przyrządów pomiarowych, czerwone, duże rozległe i obezwładniające plamy — jest ich kilka. Majaki rosną łączą się, to znowu rozdzielają. Powieki ciążą niewymownie. Muszę je na chwilę przymknąć, na małą tylko chwilę. Zjawia się pokusa.

Przycichły sygnały. W słuchawkach słodka melodia rozekłanych skrzypiec, jakaś kołysanka. Zmęczone ucho z lubością poddaje się tej delikatnej pieszczocie tonów. To już nie poprzedni, niemal bolesny dla ucha skrzek dźwięków morsa. Jakies tango, to znów walc... Jeszcze nie otwierać oczu, jeszcze chwilę, jedyną, maleńką... To było tak niedawno. Te same tony, dom... Jak miło było słuchać muzyki z przymkniętymi oczyma, w łagodnym świetle abażurowej lampki, we dwoje; czuć w pewnej chwili słodycz pocałunków kochanych ust.

Są znowu sygnały, wżerają się w tony muzyki, potężnieją, zwyciężają. Już tylko zwycięski ton boleśnie uderza ucho, przenikliwy i ostry, wyprowadza z chwilowego odrętwienia, budzi wolę, przypomina o obowiązku, że nie wolno zatrzymywać skali — szukać, ciągle szukać, nie patrzeć stale w jeden punkt, odrywać oczy od aparatury, skierować je gdziekolwiek, dać im wypocząć, a potem znów zwrócić je na aparat, wciągnąć kilka razy głęboko powietrze. To rozprasa ogarniającą senność. Tak radziłem nieraz, na dyżurach nocnych, w czasie ćwiczeń swoim radiotelegrafistom. Stosuję to teraz do siebie — pomyślałem z ironią i zaraz na usprawiedliwienie tej dziś zawodnej, a dawniej niezawodnej metody, przypominam sobie, że nie jedna, ale szereg nocy już ją stosuję, nic też dziwnego, że powoli ztraca ona swą niezawodność. Bronię się przed uporczywym, ciągle powracającym, napadem snu. Byle łączność nawiązać, potem już koledzy będą pełnić służbę. Wyśpię się do woli, za wszystkie noce. Nawiązać łączność — jak to cudownie i obiecująco

dla mnie brzmi w tej chwili. Fantazja przedstawia mi już ten moment radosny. Usłyszę w końcu wołanie, upragniony sygnał. Potem wszystko już takie proste; zawołam na mechanika: „silnik”, przełączę na nadawanie — niebieski, neonowy błysk lamp nadawczych — ręka na kluczu, zgłoszę się. Widzę radość tamtego radiotelegrafisty w Naczelnym Dowództwie. Nareszcie będą rozkazy, będzie radiogram. Przyjdzie pomoc i zwycięstwo, zemścimy się na Niemcach, za Wyszaków, za Szczawnicę, za liczne palące się wokoło wsie, za trupy starców, dzieci i kobiet, widziane wczoraj na wąskich uliczkach małej, cichej miejsciny, Wyszkowa i Węgrowa, na drogach, nawet na ścieżkach leśnych. W Sztabie naszym otrzymają depeşe radiową. Będą ją odszyfrowywać. Nawet zrównoważony i zawsze opanowany Generał będzie się niecierpliwić. Widzę, jak wszyscy oficerowie Sztabu podchodzą do lampy, wiszącej nad tym stołem z wielką ilością map. Radość w ich oczach. Generał osobiście kreśli odpowiedź, wysyła do radiostacji. Tak! Zaraz nadam — natychmiast! Tam na drugiej radiostacji Naczelnego Dowództwa odbierze, tak samo, jak ja przed chwilą, uradowany radiotelegrafista. Zadanie — drugi czynnik — spełniliśmy. Dowódcy nasi mają łączność. Cały Sztab skupi się wokół radiostacji, wszyscy będą weseli, koniec samotnemu opędzaniu się przeważającym siłom wroga. Naczelne Dowództwo będzie kierować akcją. Oczy, wczoraj widzące odwrót i klęskę, zobaczą teraz zwycięstwo. Przyjdą posiłki, działa, czołgi. Jakże wtedy będę szczęśliwy! Już teraz z czułością spoglądam na moją radiostację. Słyszę jak ci starzy doświadczeni sztabowcy, tak nieraz bywało, niechętnie korzystający z radia na ćwiczeniach i manewrach, drut i gońca konnego przenoszący nad tę nowoczesną zdobycz w dziale łączności, teraz w rzeczywistych warunkach boju, gdy wszystkie środki łączności zawiodły, rozmawiając ze sobą, stwierdzają niezastąpione zalety w takiej sytuacji łączności radiowej. Zrozumieli teraz pracę radiotelegrafisty, tak czasami mało efektywną, za to w pewnych momentach, wprost nie dającą się ocenić. Radio-



stacja będzie działać, będą ze Sztabu ciągle przysyłać radiogramy, będą nadawał, odbierał. Jak w takiej pracy będzie szybko płynął czas. Na pewno nie będzie zmęczenia, ani znużenia. Niestety, to tylko marzenie, pragnienie.

Rzeczywistość jest inna. Bieg myśli, zahamowany wolą. Znowu skupienie się. Uwaga! godziny płyną. Ręka zacisnięta na skali ciąży niesamowicie, ruch jest coraz powolniejszy, lecz ani na chwilę nie przerwany — w lewo, w prawo z jednej do drugiej białej kreski na czarnym tle kondensatora. Zmęczony wzrok, spod ciężących powiek, prosi o zlitowanie. Czarna, z białymi kreskami skala, jest nielitościwa. RzUCA z każdej części milimetra coraz to inną radiostację, inny sygnał. Jest tych radiostacji i sygnałów tak dużo! Słuchawki, zda się, napęczniały nimi. Są ciężkie, gniotą skroni, wtłaczają się niemal w mózg. Chciałoby się zerwać je, zgnieść i zdusić, jak ciężącą zmorę, jak żywego wroga. Membrany słuchawek jęczą i zawodzą tysiącem naraz zmieszanych głosów i tonów. Trzeba się wsłuchiwać w nie, trzeba je segregować w umyśle, każdemu z tonów i znaków poświęcić, chwilę uwagi, przelać znak na papier, sprawdzić, odrzucić, szukać następnego. Gdzieś, w każdej chwili, tu, między nimi wszystkimi, może odezwać się ten oczekiwany. Sygnałów tych dziesiątki, setki, tysiące. Ten szukany może będzie słaby? Niech będzie najsłabszy, byle się odezwał. Wiem na pewno, że go nie przeoczę. Usłyszę! Znowu jakieś słuchowisko w obcym języku. Przeszkadza i rozprasza uwagę, to znów muzyka, komunikaty. Tych ostatnich jest najwięcej. Górują ponad ogólnym jazgotem w słuchawkach, twarde słowa w zniezamieszonym języku śmiertelnego wroga. Jego radiostacje są silne. Nadają na każdej niemal długości fal. Już ogłaszają światu przedwczesne zwycięstwo. W tym ogólnym chaosie nadających radiostacji, pomieszanych ze sobą, toczących bój w niewidzialnych warstwach atmosfery, pozerających się wzajemnie zasobem swej energii elektromagnetycznej, trudno czasami zdać sobie sprawę, gdzie jest koniec.

lub porzątek ich nadawania. Ich walka w eterze kosmicznym, by się wzajemnie przysłuszyć, zda się toczyć według praw tych samych, co tu, w świecie materialnym, między dwoma wojskami — silniejszy zwycięża. Radiotelegrafista gubi się czasami w tym chaosie, jest ponad siły wyłowić coś w takich momentach, a rozkaz brzmi wyraźnie: „Nasłuchiwać, będą nas wołać”. Sztab naszej Dywizji czeka na to wołanie. Żołnierze krwawią się, są u krańca swych sił i na próżno dotychczas czekają na odświeżenie. W tej sytuacji radio nie powinno zawieść — łączność musi być nawiązana jak najrychlej . . .

Silniejszy huk, gdzieś blisko, przerywa mi smutne, obezwładniające wspomnienia przykrych, dawno minionych spraw. To nasza artyleria, której stanowiska są tuż — posłała na pewno upominek nieprzyjacielowi.

Czuję się jak po przykrym śnie. Z uczuciem ulgi uprzytomniam sobie, że to wszystko, co wyłania się ze wspomnień, jest daleko poza mną.

Jak to się stało? Między tamtą wrześniową nocą polskiej jesieni, a dzisiejszą, kwietniową, ciepłej włoskiej wiosny, radiotelegrafista polski przeżył wiele.

Po wrześniu jednak, nie wszystko przepadło, nie wszystko zawiodło. Jak za dotknięciem czarodziejską różdżką bogini historii, karty losów wojny od pamiętnego września zaczęły się zmieniać. Radiotelegrafista polski coraz lepiej, coraz silniej, słyszy radiostacje swojej sieci, swych dowódców. Coraz słabiej przeszkadza nieprzyjaciel. W obłożonym Tobruku, potem pod Gazalą. W czasie okupacji Cyrenaiki — i znowu pod drugą Gazalą, radiostacje polskie działają coraz pewniej. Są meldunki, rozkazy. Żołnierze łączności otrzymują odnaczenia i pochwały za waleczność i sprawność działania.

Krótką przerwą. Nowa próba sił i to w liczniejszym gronie. Monte Cassino, Adriatyk, a teraz Bolonia. Radiostacje strojone pewną ręką polskiego radiotelegrafisty, działają niezawodnie, na każdej częstotliwości.

I któż to teraz ogłasza decydujące zwycięstwa? Kto wkroczy jutro do Bolonii? Czyje radiostacje odnoszą zwycięstwo w eterze, zagłuszając potęgą swej energii elektromagnetycznej inne, rzadko się odzywające?

Wiedziony sentymentem słowiańskim, bogom germańskim zostawiając uczucie

rozkoszy jakim jest zemsta, dziś, doświadczony z przeszłości, z „Schadenfreude” współczując dole, zwłaszcza w ciągu długich nocy, radiotelegrafisty po przeciwnej stronie.

Właśnie świta — ruszamy jak zwykle naprzód.

## RADIOTELEGRAFIŚCI IV DYW. NA WSCHODZIE.

*Od Redakcji:*

*Dnia 29 listopada 1973 roku na adres Instytutu im. gen. W. Sikorskiego nadeszła przesyłka adresowana do Koła Łącznościowców z listem: „Kochane Polskie „Druciki”, może załączone ze Skarbów wspomnień papierki przydadzą się Panom — pół Drucik z Kawalerii”.*

*Załączone dwie fotografie: jedna z napisem „Odessa 1918 rok, Kompania (Inżynierska — napis wytarty) IV Dyw. Strzelców gen. Żeligowskiego; druga „Na ćwiczeniach w okolicy Łunińca w 1936 roku”. Byliśmy wdzięczni za zidentyfikowanie osób i jednostek łączności na obu zdjęciach, jeśli to w ogóle możliwe.*

*Załączony wycinek z pisma „Głos Kaniowczyków i Żeligowczyków” Nr. 5 rok 1963 (?) z artykułem pt. „Radiotelegrafisci IV Dyw. na Wschodzie bez podpisu autora. Artykuł ten, jako rzadki przyczynek historyczny z odległej przeszłości podajemy w całości.*

Dziś, gdy z perspektywy lat oceniamy sytuację w jakiej powstawały pierwsze formacje polskie na Wschodzie, zdumienie nas ogarnia, ile energii, utajonych sił i woli kryło się w tych zapaleńcach, którzy nie pomniali na przebyte trudy czteroletniej wojny, łamali w sobie potężny instykt ludzki i od nowa niesli życie z zapamiętaniem.

Rok 1918 w Odessie był obfity w zdarzenia i doniosły w wypadki. W Kijowie, przy wydatnym poparciu Niemców jeszcze sprawował rząd hetman Skoropadski, lecz już tworzyła się niepodległa Ukraina z Petlurą na czele. Odessa obsadzona była silnymi oddziałami wojsk ukraińskich. Potężne krążowniki: angielskie, francuskie i włoskie raz po raz wyrzucały w porcie falę wojsk koalicyjnych — różnych ras i kolorów skóry, aż do Senegalczyków i Murzynów włącznie. Polacy tworzyli zaczątek Wojska Polskiego w Odessie pod nazwą Polskiego Oddziału. Każdy kto zaciągał się do Oddziału wiedział, że wszystko trzeba samemu zrobić, zorganizować. Żyło się w zniszczonych koszarach bez szyb i okien. Sypiało się na gołych pryczkach, bez koców, sienników — nawet bez słomy. Zamiast poduszki — zniszczony mundur; zamiast przykrycia — podziurawiony płaszcz. Pracy było huk, paliła się ziemia pod nogami.

Warunki materialne Oddziału były ciężkie. Uzbrojenie niedostateczne i niejednolite. Mundurowano się i uzbrajano prawem „Kaduka”, sprzątając sprzed nosa Ukraińcom rewolwery, karabiny, sztuki sukna, uprząż, a nawet wytoczono im kilka dział ze zbrojowni pozostałej po Rosjanach. Dopiero po przymarszu z Kubani 4-ej Dywizji gen. Żeligowskiego sytuacja materialna i moralna znacznie się poprawiła. Ze względu na konieczność stałego porozumiewania się z krajem pierwszą, nie cierpiącą zwałoki

potrzebą, było dla Dywizji posiadanie własnej radiostacji. Los w tym wypadku okazał się łaskawy.

W odległości paru kilometrów od Odessy, w okolicy W. Fontanu, tuż koło lotniska, zainstalowali Ukraińcy własną nadawczo-odbiorczą radio stację. Dowódca kompanii inżynieryjnej, kpt. Bagiński Henryk, polecił porucznikom Krajewskiemu Antoniemu i Kropielnickiemu Felicjanowi „zainteresować się tą sprawą”. Rzecz przedstawiała się o tyle skomplikowanie, że lotnisko znajdowało się na końcu miasta, a w pobliżu znajdowały się oddziały wojsk ukraińskich. Zachowując wszelkie środki ostrożności, udało się por. Krajewskiemu i por. Kropielnickiemu przedostać się brzegiem morza na Wielki Fontan i zbadać możliwości porwania Ukraińcom radiostacji. Radiostacja mieściła się na 3-ch dwukołkówkach: na jednej znajdowała się nadawczo-odbiorcza aparatura, na drugiej – silnik spalinowy, trzecia była przeznaczona pod skręcany maszt antenowy. Przy pierwszej dwukołkówce pełnił służbę radiotelegrafista ze słuchawkami na uszach, lub bez nich – w zależności od tego, czy nadawał, czy też odbierał depeche. Przy drugiej radiomechanik obsługiwał silnik spalinowy. Trzecia dwukołkówka z masztem w ciągu dnia przeważnie pozostawała bez obsługi. Po ustawieniu bowiem masztu, przytwierdzeniu go parciowymi liniami do wbitych w ziemię palików i po rozwieszeniu anteny żołnierze ukraińscy waleśali się beczynnym do lotniska, lub wysypiali się w hangarach.

Trochę zimnej krwi i zręczności decydowały więc o powodzeniu przedsięwzięcia. Pewnego pochmurnego dnia, pod wieczór, gdy wszystko było już dokładnie uplanowane, wysłano z koszar kilku żołnierzy z końmi do kuźni, przylegającej do lotniska. Poprzedniego dnia specjalnie w tym celu rozkuto konie, zależało bowiem upozorować ich kucie. Żołnierze, mając w pogotowiu szejle, mieli za zadanie bacznie śledzić przebieg akcji na lotnisku przy dwukołkówkach. Wśląd za partią żołnierzy, zdążających w kierunku kuźni na W. Fontanie, przemysłali się w pojedynkę brzegiem morza por. Kra-

jewski, por. Kropielnicki, sierżant Lutowski, szer. Użarowicz i sześciu innych żołnierzy. Oficerowie mieli przy sobie pistolety „Parabellum”, żołnierze – krótkie karabinki kawaleryjskie. Dzień z wolna szarzał. Znad morza ostry wiatr grudniowy gnał gęste niskie chmury. Dotarłszy do lotniska, przyczaili się za murem jednego z domów, skąd mieli rozległy widok na wielką pustą przestrzeń z czarniejącymi na niej dwukołkówkami radiostacji. Tuż obok była kuźnia, w której odbywało się kucie koni. Pod brezentami dwukołówek pełnili służbę ukraińscy żołnierze. Dwukołówka z masztem, ustawiona w pięćdziesięciometrowej odległości od aparatury i silnika pozostawała bez obsługi. Hen, w dali przy hangarach kręcili się sylwetki żołnierzy ukraińskich. Maszt pod naporem wiatru chwiał się zachęcająco. „Chłopcy do roboty! A sprawić mi się dobrze!” – rzucił półgłosem por. Bez chwili zwłoki nasi żołnierze zabrali się do likwidowania dwukołówki z masztem: z wolna, bez pośpiechu, jeśli odwiązywać parciane liny od palików, wbitych w murawę.

Jeden z nich ściągnął powoli maszt, rzucając niespokojne spojrzenia w kierunku kuźni, z której w decydującej chwili miały ukazać się konie, gotowe do zaprzęgu. Tymczasem radiotelegrafista ukraiński, ukryty pod brezentem dwukołówki, odbierał depeche z słuchawkami na uszach. Usłyszawszy podejrzaną szmery i zgrzyty, a potem zupełną ciszę w słuchawkach, wychylił głowę spod brezentu i sądząc, że to swoi żołnierze skręcają maszt, rzucił niespokojne pytanie: dlaczego to czynią? – Na to odpowiedź, że jest rozkaz zwinąć radiostację i przenieść na inne miejsce. Nie domyślając się podstępu, radiotelegrafista zdjął słuchawki, wynurzył się spod brezentu i zabrał się do składowania aparatury. (Identyczność mundurów naszych i ukraińskich, jako pochodzących z jednych zapasów, pozostałych po demobilizacji armii rosyjskiej, utrudniała rozróżnienie). W ślad za radiotelegrafistą mechanik zamknął swoją dwukołówkę z silnikiem, wyrażając jedynie obawę pod adresem anteny, którą niedostateczna ilość

ludzi może przy zwijaniu popłatać. Zwrócił więc radiotelegrafistę uwagę, że należałoby do tej roboty wziąć jeszcze kilku żołnierzy.

Por. Krajewski i por. Kropielnicki, widząc, że maszt już skręcony, wypadli zniemacka z ukrycia i w jednej chwili znaleźli się przy dwukołówkach. Ukraińcy, nie zdając sobie sprawy z sytuacji, zdezorientowani, jeśli wzywać pomocy tych co skręcali maszt. W jednej chwili można było wplatać się w awanturę, wywracając całe przedsięwzięcie. Gdyby bowiem usłyszano wołanie przy hangarach – cała sprawa byłaby narażona na niepowodzenie. Powiązano więc natychmiast Ukraińców, każąc im milczeć. Tymczasem zaś przy każdej dwukołówce już stała para koni, gorączkowo wprzęganych przez naszych żołnierzy. Żołnierze ukraińscy leżeli powiązani, nie orientując się jeszcze dokładnie w tym, co zaszło. Dopiero, gdy por. Kropielnicki zbliżył się do nich i oświadczył, że unikną śmierci tylko w tym wypadku, jeżeli zobowiążą się zapoznać Polaków z aparaturą radiostacji – wtedy Ukraińcy zorientowali się, że są wzięci podstępem do niewoli przez wojsko polskie.

Późnym wieczorem radiostacja wjechała uroczyście w obręb koszar, witana przez

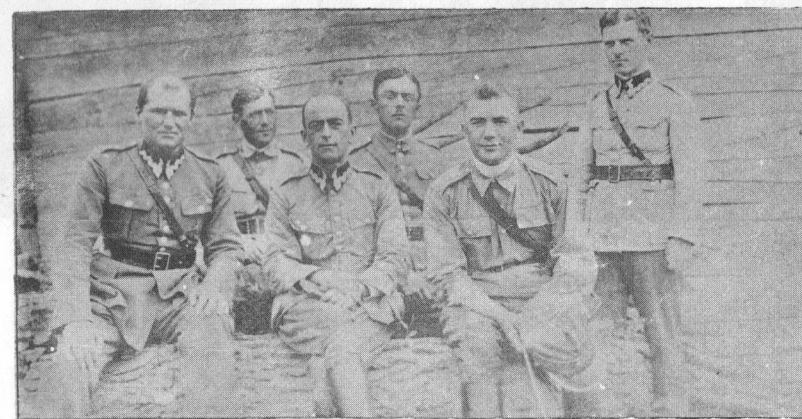
bractwo okrzykami radości. Też nocy prze-malowano dwukołówki na nasz kolor, znacząc ich przynależność do wojska polskiego znakiem białego orła. Żołnierze ukraińscy, gorliwie wypełniali swoje zobowiązanie w ciągu kilku tygodni, obznajmiając nas z obsługą radiostacji. Trzy skromne dwukołówki, mieszczące w swym szarym wnętrzu magiczną moc porozumiewania się z odległą Ojczyzną, ochraniane, jako bezcenny skarb Dywizji powędrowały z nami długa, żmudną, pełną niebezpieczeństw drogą, poprzez Besarabię i Rumunię, do Małopolski.

Dziś, gdy z perspektywy lat ustawiamy obok siebie w nierównym porównaniu ową skromną radiostację z dumnymi zdobyczymi nowoczesnej powojennej radiotechniki – mimowoli z sentymentem zwracamy się w myśli do tych przyjacielskich dwukołówek które ułatwiły nam wymarsz z Odessy, za lanej zdezorganizowanym żywiołem wojsk koalicyjnych, ukraińskich i bolszewickich.

List wspomniany kończy popularny dwuwiersz:

„Saperzy i piechurzy już dawno spią w chatupie,  
A drucik patrzy z góry, bo siedzi na słupie”.

A oto jedna z nadesłanych fotografii. Kto pozna osoby?



Na ćwiczeniach w okolicy Lunińca w 1936 r.



**Druga nadesłana fotografia:**



**Odessa, 1918 rok. IV Dyw. Strzelców gen. L. Żeligowskiego  
Kto pozna osoby?**

Druk: West London Offset Co., 86 Lillie Road, London S.W.6